

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

ok 1

Lódź, 7 października 1945 r.

Nr 6

BIGNIEW MITZNER

BEZ KONKORDATU

Zagadnienie wzajemnego stosunku Kościoła do Państwa było jedną z centralnych praw, o które toczyła się walka między prawicą i lewicą przy układaniu konstytucji polskiej uchwalonej w dniu 17-tym marca 1921 r. W rezultacie art. 114 tej konstytucji postanawia, że Kościół rzymsko-katolicki posiada w Polsce stanowisko narządowe, a inne wyznania są równoprawne. Konstytucja ta postanowiła także ogół spraw między Polską i Watykanem zostanie rozstrzygnięty na podstawie konkordatu, który ma być zawarty. I rzeczywiście układ taki podpisano w Rzymie 10 lutego 1925 r. W ten sposób ostatecznie zostało zadecydowane ściśle i formalnie związanie Państwa z Kościołem katolickim.

Układ ten nie ma charakteru zwykłego paktu międzynarodowego, zawartego przez dwa państwa. Według teorii reprezentowanej przez szereg prawników kościelnych, konkordat jest rodzajem przywileju, nadanego przez papieża państwu, do niego też należy zarówno kwestia interpretacji jego przepisów, jako też ewentualne jego zmiany lub całkowite uchylenie. Stanowisko takie wynika z poczucia Kościoła, nie zawsze dziś już otwarcie głoszonego, iż Kościół jest władzą nadrzędną i że z niego władza świecka bierze swoje źródło i początek.

Wśród wielu konkordatów, jakie przechowuje się w kancelariach Watykańskich, wzorowym z jego punktu widzenia jest konkordat zawarty z Austrią w r. 1855. Traktat ten oddawał całe właściwe życie poddanych monarchii habsburskiej pod władzę i kontrolę kleru. Na jego podstawie nie tylko nauka na wszystkich stopniach we wszystkich szkołach, zarówno publicznych jak i prywatnych, musiała być zgodna z zasadami katolicyzmu, ale także i wszyscy nauczyciele w szkołach średnich musieli być katolikami. Nad szkolnictwem powszechnym zaś roztoczona była urzędowa kontrola inspektorów powołanych przez władze kościelne. Biskupom przysługowało prawo cenzurowania wszelkich druków oraz karania osób świeckich za przekroczenia prawa kościelnego.

Dzieje upadku tego konkordatu są niezwykle pouczające. Rządy liberalne, nie mogąc uzyskać od Watykanu zgody na zmianę tych drakońskich przepisów, zmierzając drogą faktu t.j. wprowadzając ustawy o prawie małżeńskim, o niezależności szkół od władz kościelnych i uregulowaniu stosunku między wyznaniami, do przekształcenia stanu rzeczy wykorzystano przez konkordat. Wreszcie rząd austriacki skorzystał z ogłoszenia w r. 1870 dogmatu o nieomyślności papieża, aby ogłosić konkordat za nieważny, jako zawarty z głową państwa, posiadającą dotąd inne uprawnienia.

Rozwój stosunków politycznych i społecznych od połowy XIX wieku nie pozwolił już postanowieniom konkordatu polsko-watykańskiego formułować w sposób tak drastyczny, jak to miało miejsce w traktacie z Austrią. Konkordat polski stał się więc prawdziwym popisem kazuistyki watykańskiej, która pod nie znaczącymi ogólnikami przemyślała postanowienia zabezpieczające interesy kleru w Polsce. Wzorem tego jest już art. 1, który głosi: „Państwo zapewnia Kościołowi swobodne wykonywanie jego władzy duchowej i jego jurysdykcji, jak również swobodną administrację i zarząd sprawami jego i majątkiem zrodnie z prawem bożym i prawem kanonicznym”. W ten sposób utworzono wewnątrz państwa organizację faktycznie odeń niezależną, rządzącą się nie tylko swoim własnym kodeksem pisanim, ale i zupełnie już nieuchwytnym i bardzo rozciągliwym prawem boskim, którego oczywiście wykładnię i stosowanie zarezerwował sobie wyłącznie sam Kościół.

Odnosnie zaś prawa kanonicznego, to przyznając mu siłę władzy na terenie państwa polskiego, zgodzono się na to wszystko, co ono zawiera, a więc: na szkołę wyznaniową, kościelne prawo małżeńskie, cenzurę ksiązek i wszelkich przejawów życia kulturalnego i wreszcie na otwartą walkę ze wszystkimi innymi wyznaniami.

Dając te przywileje państwu Kościoła, władza świecka zobowiązała się jednocześnie do użyczenia swej pomocy, aparatu administracyjnego i policyjnego w trzech sprawach: 1) przy usuwaniu zdegradowanego księdza z parafii, 2) przy inkasowaniu podatku kościelnego i 3) we wszystkich wypadkach „przewidzianych przez prawo obowiązujące”. Ponieważ art. 1-szy za prawo obowiązujące Kościół podał, prawo kanoniczne i prawo boskie, na podstawie konkordatu władza państwowa mogła być zmuszona do dokonywania gwałtów w stosunku do swych obywateli w imię praw formalnie na terenie Rzeczypospolitej nie

istniejących, a nawet w myśl zarządzeń biskupów przez żadne prawo nie przewidzianych. Biskupi w każdej chwili powołać się mogli na im tylko objawioną wolę bożą, której według swego mniemania są jedynymi interpretatorami. Sami zaś księża zostali wyjęci faktycznie spod działania prawa państwowego, gdyż stworzono dla nich specjalne więzienia klasztorne.

Konkordat gwarantował również nienaruszalność całego ogromnego majątku Kościoła w Polsce, stwarzał bardzo wysokie minimum obszaru ziemskiego wyłącznie spod reformy rolnej, usuwając ze sfery jej działania w ogóle olbrzymie obszary leśne, znajdujące się w posiadaniu kleru. Jednocześnie cały ciężar utrzymania Kościoła w Polsce na wszystkich jego stopniach i w całym olbrzymim zakresie działania został przerzucony na barki państwa.

Z tym balastem wkroczyliśmy w nową epokę naszego państwa, w epokę, której

„KSIEŻA I PRAŁCI, WY OCZEKUJECIE ZBAWIENIA TYLKO OD ZŁOTA, OD KANONU I PROTOKÓŁÓW, A TYCH ŚRODKÓW, KTÓRYCH NIE POSIADACIE, DOMAGACIE SIĘ OD WŁADZY ZIEMSKIEJ, WY, KTÓRZYSCIE POWINNI PODZWIGNĄĆ I ZBAWIĆ ZIEMIĘ, DOMAGACIE SIĘ OD ZIEMI, ŻEBY ONA WAS PODZWIGNĘŁA I ZBAWIŁA.

NIE MÓWCIE, ŻE LUDY WAS OPUSZCZAJĄ, TO WY JE OPUSZCILIŚCIE”.

(Adam Mickiewicz „Trybuna Ludów”).

ROMAN WERFEL

O FORMACH JEDNOŚCI NARODOWEJ

NAPRZÓD CZY WSTECZ

Biada narodowi, który nie potrafi w czas chwycić sensu dostrzegających przemian, który nie potrafi w czas od tego, co było dobrem wczoraj, przejść do tego, co stało się dobrem dziś!

Kto nie idzie naprzód z żywymi, tego drugą kółka historii.

Czy Polska zawsze szła naprzód z żywymi?

Mamy w naszych dziejach okresy kiedy naród nasz znajdował na ostrym zakresie historii właściwe, należne sobie miejsce, kiedy stawał pośród czołowych, postępowych narodów europejskich.

Tak było w okresie chrześcijaństwa, kiedy naród nasz z rozproszkowanego plemienia zjednoczył się w jednolite państwo — przedmurze Słowiańszczyzny, wspólny z braćmi Czechami, w obliczu teutońskiej nawały.

Tak było za Kazimierza Wielkiego, kiedy mądra polityka króla rozwijała handel i rzemiosło, kierowała rolnictwo na nowe tory, wzmacniała władzę królewską wobec feudalnej anarchii wielmożów, kiedy Polska w dziedzinie kulturalnej i społecznej stawała w pierwszym szeregu czołowych państw europejskich.

Tak było za Jagiellów w okresie po Grunwaldzie. Polska na lat kilkanaście zahamowała ofensywę terytorialną germanizmu i zapewniła sobie, a zarazem i całej wschodniej Słowiańszczyźnie, możliwość wolnego od niemieckiego jarzma, samodzielnego rozwoju politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

Ale bywało tak nie zawsze.

Bywało, że warstwy panujące Polski uprzeczywie trzymały się dnia wczorajszego, że siły postępu były niedostatecznie rozwinięte, że ludziom postępu brakowało woli decyzji, że czynniki reakcji odnosiły zwycięstwo i kierowały rozwój Polski na manowce zacofania i wstecznicstwa, wiodące do upadku i niewoli.

Tak było w XVII stuleciu, kiedy po złotym wieku kultury i państwowości polskiej nastąpił okres magnackiej anarchii, a za nim czasy saskie, lata upadku politycznego i ciemnoty kulturalnej.

Tak bywało nieraz w okresie powstań narodowych, kiedy słabość „stanu trzeciego”, podstawowego czynnika postępowego owych czasów, kiedy polowiczność kierownictwa obozu patriotycznego, jego chwiejność i ustępliwość wobec reakcji wewnętrznej otwierały bramę wrogowi zewnętrznemu, paraliżowały te żywe siły, które jedynie mogły uratować kraj.

Tak było po 1918 r., kiedy przewaga reakcji w odrodzonej Polsce, kiedy wpływy klik militarnych i plutokracji polskiej wespół z zagraniczną, pchnęły Polskę, wbrew woli i większości narodu, w szaleńczą awanturę kijowską, a w ostatnich latach przedwojennych związały ją z polityką mocarstw osi, z polityką międzynarodowego faszystwu.

Drogo za każdym razem za przewagę reakcji, chwiejność swych mężów stanu płaciła Polska, płacił cały naród polski.

ZWYCIĘSTWO REAKCJI — KLESKA POLSKI

Wiek XV i XVI. Rozkwit okresu pierwszych Jagiellonów. Rozkwit oparty o równoczesny rozwój miast i wsi, rolnictwa, rzemiosła i handlu. Rozkwit gospodarczy — umocnienie polityczne — „złoty wiek” kultury i literatury polskiej.

Walczyli przeciw zacofaniu najlepsi ludzie ówczesnej Polski. Obóz „egzekucji praw” wywalał całkowicie program przemiany Polski w nowoczesne, postępowe dla owego wieku, państwo, silne państwo ziemiańskiej szlachty, współpracującej z bogatym mieszczaństwem. Trwał na polu walki z reakcją Mikołaj Rej. Raz po raz podnosił swój głos ostrzeżenia — jakże szlachetny, jaką pełnią czelowieczeństwa brzmiały — polski Erazm z Rotterdamu, Frycz - Modrzewski.

A potem — stacanie się w dół po pochylej płaszczyźnie możnowładczej samowoli aż do ponurej hańby czasów saskich, kiedy to „Polska nierządem stała”, kiedy król pruski bezkarnie brał rekruta z ziem polskich, kiedy polot myśli i wspaniały język Kochanowskiego i Reja wyparte zostały z życia polskiego przez pląskię błazeństwa i ohydne makaronizmy księdza Baki. Nastąpiła przemiana Polski w rolniczo - surowcowe zaplecze przemysłowego Zachodu, z wyłącznym, ciasnotanowym, tego ograniczonym do najbardziej bezpośrednio materialnych interesów panowaniem szlachty i anarchii feudalnej w dziedzinie polityki, z potwornym wyzyskiem pańszczyźnianego chłopca, z całkowitym upośledzeniem, poniżeniem, zrujnowaniem mieszczaństwa w dziedzinie społecznej.

Ten upadek dokonał się w walce, w walce rozpaczliwej i upartej elementów postępu i elementów zacofania. Dokonał się dzięki zwycięstwu reakcji w Polsce.

Sprzysięgli się przeciw ówczesnym postępowcom polskim siły potężne: możnowładcy i magnaci, dla których wzmocnienie państwa oznaczało kres dotychczasowej samowoli, agentura niemiecko-habsburska, dla której Polska była tylko źródłem łatwych dochodów i subwencji wiedeńskiego dworu, klerykałna hierarchia, zagrożona przez reformację, ciemnota drobnej szlachty, gardzącej „lykiem” i chłopem. W walce, w walce uporczywej, w której niejednokrotnie szala zwycięstwa już - już przechylała się na ich stronę — ulegli ówczesni przedstawiciele postępu historycznego w Polsce.

LIST OTWARTY

DO OB. OB. MINISTRA OŚWIATY, PODSEKRETARZY STANU, KURATORÓW OŚWIATY, WŁADZ ADMINISTRACJI SZKOLNEJ!

Nauczycielom miał być przywrócony awans automatyczny i zaliczone lata pracy w okresie okupacji. Do dziś można było i bezwzględnie należało zaliczyć do awansu przynajmniej bezsporne lata i jednocześnie awansować, zostawiając trudną i długą sprawę zaliczania lat tak zwanego „tajnego nauczania” odpowiednim komisjom. Miał być szereg miesięcy i noc z tego dotąd nie wykonano.

Nauczycielom 1. IX. przyrzeczono dodatek dwumiesięczny. Miał wrzesień i dodatek nie został jeszcze wypłacony.

Nauczycielom od szeregu miesięcy obiecywano się specjalne przydziały żywnościowe. A w rzeczywistości w wielu miejscowościach nie dostają regularnie nawet chleba.

Krzywdę nauczyciela odczuwa całe społeczeństwo. Niedola nauczyciela wpływa na obniżenie poziomu szkoły, a więc faktycznego poziomu kulturalnego mas.

Żądamy zerwania z biurokratycznym bezwładem administracji szkolnej. Żądamy wykonania uchwał już dawno powziętych przez Rząd, a zaniebanych przez władze oświatowe.

ZESPÓŁ „KUŹNICY”.

Zapanowała w Polsce magnateria obzarnicza, drobnoszlachecka ciemnota, klerikalny obskurantyzm. Nastąpiło uwstecznienie struktury gospodarczej i społecznej kraju.

Przez mrok czasów saskich szła ku upadkowi szlachecka Rzeczpospolita.

ZA CHWIEJNOŚĆ PŁACI SIĘ KLĘSKA

Dokonały swego stućdziesięcioletnie rządy wstecznicstwa i feudalnego monarchizmu. Polska bezsilna leżała u stóp mocarstw ościennych. Ambasadorowie Fryderyka Wilhelma i Katarzyny II rządzili w Warszawie. W Berlinie, w podrecznej bibliotece króla leży atlas od lat otwarty na mapie Polski: Gdańsk, Poznań, Warszawa zakreślone są na niej jako przyszłe miasta pruskie...

Budzi się wśród najłepszych elementów szlacheckich myśl patriotyczna, bunt przeciw temu haniebnemu stanowi rzeczy. Na żywny grunt padają nauki francuskiego Oświecenia. Namietnym patosem Staszycyca, mądrymi zdaniami Kollataja i Wybickiego, zjadliwym szyderstwem kanonika Jezerskiego szturmują obóz reform twierdząc wstecznicztwa i feudalnego „nierządu”.

Stworzenie sprawnej administracji państwowej, podniesienie miast, gruntowne polepszenie doli chłopów, stworzenie nowoczesnej, zdolnej do obrony kraju armii — oto był cel, do którego dążyli ludzie reformy u schyłku XVIII wieku. Zrealizowanie tego celu oznaczało odrodzenie Polski, uratowanie jej przed upadkiem.

Nie chciała tego odrodzenia reakcja wewnętrzna — magnateria i zacofane elementy szlachty. Nie chcieli mocarstwa ościenne, gruntujące swe wpływy na polskim bezrządzie. Przeciw Konstytucji 3 Maja wystąpiła do walki Targowica a „Najjaśniejsza Imperatorowa” chętnie udzieliła jej pomocy swych wojsk.

Była jeszcze wtedy droga do uratowania kraju. Było nią podniesienie do walki milionowych mas ludowych, radykalne, doprowadzone do końca uwolnienie chłopów, rozgętnienie przeciw mocarstwom zaborczym takich sił, które we Francji zwycięsko stawiły czoło połączonej feudalno-absolutystycznej „Europie”.

Nie poszli tą drogą ludzie Trzeciego Maja — i tym umożliwili zwycięstwo Targowicy.

Próbowali wejść na tę drogę, ale jakże chwytliwie i półowiczni ludzie insurekcji kościuszkowskiej; ich chwytliwość, dała nam w rezultacie upadek powstania.

Szlachecko-magnacki, pod koniec swej działalności nawet szlachecko-mieszczański obóz reform cofał się przed wprowadzeniem w ruch jedyną siłą, która mogła uratować kraj: mas ludowych, cofał się przed stanowczym zniesieniem pańszczyzny i poddaństwa chłopów, przed powołaniem do walki o wolność kraju wielomilionowej masy biedoty miejskiej i chłopskiej.

Nad Polską zawisła stutrzydziestoletnia noc niewoli.

TRAGEDIA POWSTAŃ NARODOWYCH

Naród, rozdarty między mocarstwa zaborcze, toczy bez przerwy rozpaczliwą walkę o byt, o istnienie, o niepodległość. I zów ten sam problem, choć w zmienionej postaci, staje przed bojownikami wolności Polski, przed bojownikami postępu.

Nikt nie przeczy już w zasadzie konieczności daleko idących reform społecznych i politycznych, zniesienia pańszczyzny i poddaństwa chłopów. Ale trwa walka o terminy, o formy, o zakres reform, o formy rządu, o decydujący wpływ na odrodzone państwo.

Natychmiastowe w chwili powstania zniesienie poddaństwa i pańszczyzny czy też odłożenie realizacji zasadniczo proklamowanej reformy do okresu po zwycięstwie, to znaczy niewykonanie jej nigdy; uwolnienie chłopów wraz z ziemią, czy też odebranie mu ziemi, którą od wieków uprawiał; uwolnienie go bez żadnych odškodowań dla szlachty, czy też obłożenie go wieloletnim haraczem na rzecz właścicieli chłopskich „dusz” — oto podstawowe zagadnienia, o które toczy się walka pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi i kierunkami myśli polskiej, jeśli idzie o sprawy społeczne.

Państwo „posesjonatów”, państwo za możnej szlachty i wielkich bankierów miejskich, ustrój polityczny, wzorowany na Francji Ludwika Filipa, na Anglii pierwszej połowy XIX wieku, oparty na połączeniu przywilejów urodzenia i przywilejów pieniądza, polityka wygrywania przeciwko sobie poszczególnych dworów europejskich, czy też państwo ludu miejskiego i wiejskiego, drobnej, w znacznej części wygnanej do miast szlachty, inteligencji miejskiej, ustrój radykalnej demokracji, znoszący wszystkie cenzusy, pieniądze i przywileje urodzenia, polityka walki z ogólnoeuropejską reakcją, sojuszniczką mocarstw zaborczych, polityka braterskie-

go sojuszu z ogólnoeuropejską demokracją, z ogólnoeuropejskim ruchem rewolucyjno-demokratycznym. Oto podstawowe zagadnienia, o które toczyła się walka pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi, poszczególnymi kierunkami myśli polskiej, jeśli idzie o sprawy polityczne.

Jedni ciągną naród polski wstecz, ku programom społecznym i politycznym ogólnoeuropejskiego wstecznicztwa, drudzy chcą go podnieść na poziom najbardziej postępowej myśli europejskiej, kładą swe podpisy na komunikatach międzynarodowego ruchu robotniczego. Jedni szukają ratunku Polski w przedpokojach monarchów, drudzy w wielkiej burzy dziejowej, w „wojnie ludów” przeciw reakcji i przywilejom wszelkich typów.

I oto, ilekroć ruch dojrzewa do wystąpienia, za każdym razem staje przed Polską zagadnienie: kto ma ująć w swe ręce kierownictwo ruchu: „umiarkowana” — pseudopatriotyczna reakcja, czy bojowe radykalne, demokratyczne elementy ludowe. I za każdym razem obóz radykalny, obóz demokratyczny kapituluje przed „umiarkowaniami”. Reakcja zasiada u kierownictwa, przejmując ster władzy w swe ręce, doprowadza ruch do klęski, pozostawiając demokratom i radykałom prawo i honor zgonu na ostatnich szanach walki.

Tak w gruncie rzeczy skapitulowało przed jawną zdradą Chłopskiego i Lubeckiego, przed reakcją, do zguby wiodącą polityką Czartoryskiego Towarzystwo Patriotyczne w roku 1831. Nie tknęło powstanie folwarków ziemiańskich, nie ruszyło poddaństwa chłopów, nie podniosła się w jego obronie, milionowa chłopska masa. Powstanie przeszło w wojnę regularnych armii, a ta zakończyła się klęską armii słabszej, armii polskiej, klęską Polski.

Tak kapitulowali w gruncie rzeczy przed zamożną folwarczną szlachtą kierownicy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Nie rozwijali propagandy wśród mas ludowych miasta i wsi, ograniczali się do działalności w wąskim kręgu szlachty i inteligencji. Rezultatem ich polityki była tragiczna „rabacja” tarnowska. Rezultatem ich polityki była klęska powstania krakowskiego 1845 r., klęska Polski.

Tak skapitulowało — po aresztowaniu Jarosława Dąbrowskiego, po śmierci Stefana Bobrowskiego, po straceniu Zygmunta Sierakowskiego — przed ziemiańsko-bankierskim obozem Białych — „Czerwone Stronictwo Ruchu” w latach 1861 — 1863. Oddało dyplomację powstania w ręce reakcyjnej, wysługującej się bonapartyzmowi klikki stronników Czartoryskiego. Nie przeciwstawiło się praktycznemu zaprzepaszczeniu sprawy zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia chłopów. Dopuściło do skreślenia w programie powstania prawa samostanowienia Litwy i Ukrainy, do podderwania sojuszu z ogólnoeuropejską demokracją, z rewolucjonistami rosyjskimi. Rezultatem było zwięźnięcie podstawy powstania, chętno i nieufnie przyjęła je przyniatająca większość chłopów polskich wręcz wrogo odniosła się do niego chłop ukraiński. Powstanie — wielki ruch masowy — skierowane zostało przez zwolenników Czartoryskiego na tory zbrojnej demonstracji, usiłowali oni część ogólnoeuropejskiego ruchu rewolucyjnego — zamienić w atut bonapartyzmu polityki awantur. Daremnie Traugutt, pobożny, konserwatywny Traugutt, próbował w ostatnich godzinach powstania zawrócić je na tory demokracji Jarosława Dąbrowskiego, tory sojuszu z de-

demokracją europejską. Było już za późno. Rezultatem kapitulacji „czerwieńców”, rezultatem zwycięstwa „Białych” był upadek ruchu. Klęska powstania, klęska Polski.

JEDNOŚĆ W POSTĘPIE, CZY JEDNOŚĆ W REAKCJI

Szukając dróg, po których jedno za drugim pokolenie postępowców, demokratów i niepodległościowców polskich dochodziło do kapitulacji przed reakcją, szukając motywów, które skłaniały ich do milczenia, do ustępstw, wiodących prosto ku klęsce, ku ogólnonarodowej katastrofie — spotykamy, jako zasadniczy motyw, osobliwe wypaczenie koncepcji jedności narodowej. Rozumiejąc wagę jedności narodowej dla walki wyzwoleniczej kraju, działające ci gotowi byli do zawarcia jej za wszelką cenę, nawet za cenę rezygnacji z realizowania własnych poglądów, nawet za cenę oddania steru ruchu w ręce reakcji, to jest w ręce wrogów ruchu.

Sprecyzujmy nasz pogląd: W walce z zaborcami trzeba było zmobilizować i zjednoczyć wszystkie siły narodu — wszystkie gotowe do tej walki siły narodu. To oczywiście nie ulegało i nie ulega, nie może ulegać, najmniejszej wątpliwości. Zadane przekonanie polityczne czy społeczne nie dawało wtedy, jak i dziś, monopolu na patriotyzm; szeregi walczących stały i powinny być stać otworem dla każdego, kto chciał walczyć o wolność Polski i gotów był podporządkować się wymaganiom tej walki. Potrzeba zjednoczenia narodowego w tej walce była jasna i niewątpliwa. Powiemy więcej: takie zjednoczenie narodowe, taka właśnie jedność narodowa była niezbędna, była warunkiem zwycięstwa, była jedyną drogą wywalczenia niepodległości. Problem tylko: jak tę jedność rozumieć, w jaki sposób ją osiągnąć?

Czy jedność narodowa miała oznaczać, że elementy ludowe, postępowe, konsekwentnie demokratyczne, najbardziej bojowo nastrojone wobec zaborców, mają ustępować, rezygnować z urzędziestwa swych postulatów, mają podporządkować się elementom konserwatywnym, opierającym się o warstwy posiadające, elementom zachowawczym, skłonny do ugody, czy miała ona oznaczać, że dla pozyskania części reakcji dla ruchu, należało pozabawić ten ruch jego społecznej i politycznej treści?

Czy też jedność ma oznaczać na odwrót, że zadanem elementów postępu, elementów demokracji, elementów konsekwentnej walki z zaborcami jest zmobilizowanie dla swego poparcia, pod sztandarem swoich postulatów, pod sztandarem ogólnonarodowej walki jak najszerszych mas ludowych, aby ich naciskiem zmusić konserwatywne elementy reakcyjne do kapitulacji wobec „stronictwa ruchu”, aby stworzyć jedność narodową na gruncie postępu, na gruncie konsekwentnej walki o niepodległość, na gruncie konsekwentnej demokracji.

Tak właśnie rozumiał jedność narodową Edward Dembowski, kiedy w wiadomości o reakcyjnym puczu Helców i Wiśniewskich zmobilizował lud miejski Krakowa, z bronią w ręku przepędził zdrajców, agentów Mikołaja i stworzył jedność narodową na gruncie powstania.

Tak właśnie rozumiał jedność narodową Jarosław Dąbrowski i jego przyjaciele, kiedy szeroką kampanią demonstracyjną przyzyskali do muru konserwatywne, ugodowe elementy, zmuszali je krok za krokiem do solidaryzowania się z ruchem, do odgraniczenia się od jawnych zdrajców,

do przeciwstawienia się Wielopolskiemu, tworzyli jedność narodową na gruncie walki z caratem, na gruncie uwłaszczenia chłopów, na gruncie przeciwstawienia się ludzom typu Wielopolskiego, występującym się carowi.

I rozumieli ją słusznie. Tym bardziej słusznie, że wtedy, tak samo jak dziś, obóz międzynarodowej reakcji był obozem wrogiem Polsce, że wtedy, tak samo jak dziś, międzynarodowa reakcja opierała się o bagnety morderców Polski.

Niestety, większość ówczesnych demokratów inaczej rozumiała jedność narodową. Byli to ludzie oddani sprawie, ofiarni, nieraz o szczerze postępowych przekonaniach, ale opanowani „koncepcją” — powiedzielibyśmy niemal manią — pozyskania reakcji dla ruchu, choćby przez kapitulację.

Nie osiągnęli oni swego celu. Nawet za cenę wyrzeczenia się własnej ideologii, własnego oblicza, nie udawało się stworzyć jedności narodowej, o której marzyli. Nawet za cenę oddania steru ruchu reakcji nie pozyskali jej dla walki niepodległościowej. Przeciwnie, uwolniona od nacisku demokracji reakcja zrywała jedność narodową, przechodziła do ataku przeciw elementom postępowym, szła na ugody z zaborcami, prowadziła ruch do katastrofy. Elementy demokratyczne, które kapitulując przed reakcją wyrzekły się własnego oblicza ideowego i pozabawiły się samodzielności politycznej, a przez to utraciły oparcie w masach ludowych, niezdolne już były do czynnego, skutecznego przeciwstawienia się zdradzie. Tak za kapitulacją demokracji przed reakcją wewnątrz narodu, następowała kapitulacja dzierżącej ster zbrojny reakcji polskiej przed wrogiem zewnętrznym, następowała klęska narodu.

Za słabość postępowców i demokratów polskich płacił naród upadkiem jednego ruchu po drugim, jedną klęską Polski po drugiej.

ŹRÓDŁA SŁABOŚCI I ŹRÓDŁA SIŁY

Co rodziło u wielu polskich demokratów i postępowców tę dziwną, niezrozumiałą na pozór „koncepcję”, to karykaturalne wypaczenie słusznej i głęboko postępowej idei jedności narodowej w walce o wyzwolenie Polski?

U podstaw tego poglądu tkwiła słabość postępowych sił społecznych owego czasu, tkwiła odcierpałość o szerokiach mas narodu, większości ówczesnych organizacji demokratycznych i postępowych.

Słabo tylko rozwinęło się mieszczaństwo w uwstecznionej gospodarce Polsce. W gruncie rzeczy, do 1863 r. niemal, tylko Warszawa zabiera głos w imieniu miast polskich w ruchu wyzwoleniczym. Eksploatowany jak niewolnik milczy pogrążony w głębokiej ciemności chłop polski. Kosynerzy racławicy — to znikomy odsetek chłopstwa polskiego.

Rodzą się tendencje postępowe, liberalne, później demokratyczne wśród najlepszych elementów szlachty, wśród tworzącej się dopiero inteligencji miejskiej. Daleko im do mas, do prawdziwego, żywego, nie teoretycznego tylko ludu. Wielu przedstawicieli tych tendencji nie przedjęło jeszcze powinności, łączącej ich ze szlachtą jako warstwą społeczną, z tym, by użyć słów Maurycego Mochnackiego, „oddychnąć powietrzem” dawnej Polski. Imponują im pałace magnackie, siedziby władców faktycznych tyłu tysięcy „dusz” chłopskich i wódzów ideowych tyłu tysięcy „dusz” drobnej szlacheckiej braci. Z powierzchownego charakteru ich demokratycznych przekonań, ze słabego oparcia ich o masy ludowe wyrasta ich kapitulacja przed reakcją, wrogiem niepodległościowej walki.

Na odwrót — ci właśnie, co do końca walczyli przeciw tej kapitulacji, reprezentują nie tylko konsekwentnie demokratyczne przekonania, ale także — i przede wszystkim — mocne oparcie o masy ludowe. Związał się Dembowski z chłopem Królestwa w spisku Ściegiennego, z mieszczańcem i chłopem ziem zachodnich w „Związku Plebejusów” — i to dało mu siłę, by rozwinąć w Krakowie sztandar prawdziwej jedności narodowej, jedności w walce, jedności w postępie. Mocno wrosł swą „Organizacją Miejską” w lud Warszawy „Lokietek” — Jarosław Dąbrowski — i to dało mu siłę, by narzucać swoją, konsekwentnie niepodległościową politykę, chwytliwym „millenerom” i Białym, jednoczyć cały naród w walce z najazdem.

Droga do prawdziwej jedności narodowej prowadzi nie przez kapitulację czynników postępu, ale przez ich siłę i poczucie własnej kierowniczej roli, przez ich głębokie związanie z masami ludowymi, przez ich śmiałość w formułowaniu ogólnonarodowych zadań, przez skupienie całego narodu w walce o realizację tych zadań.

STANISŁAW JERZY LEC.

ANNO 1943

Czasem w oddechu jakiejś ciszy
pomiędzy dwoma piorunami
otwieram książkę. Ale zamieć
zmywa litery i krwią pisze.

Wygraża krwią przesiąkniętym dymem
ponad przyrodą bezlitosną,
gdzie groby mówią się i rosną
jak zboża jare i ozime.

Życie i śmierć na szalkach obu,
w których sklepikarz chleb mój waży.
Zmęczona każda tkanka twarzy,
w której ukryłem śmierć narodu.

Ach, jakie duszne dziś podziemię
tej konspiracji. Łzy zakrzepły.
I nie chce w grób mnie przyjąć ciepły
ta ziemia, której soki we mnie.

I serce, w którym ciągle ściszam
bolesnej konspiracji ślady.
Przed okupantem i sąsiadem,
nawet przed własnym towarzyszem.

A nawet i przed samym sobą,
bo pali obraz na łęczówce:
Żydzi oślepli tną holubce,
to na Podolu płonie obóz.

Kto szedł przez Polskę czasu rzezi,
a Żydem był, co z martwych powstał
o śmierć mądrzejszy, którą przeżył
gorzej już musi być cięłości.

WYCIĄGNIĘSI MY WNIOSKI Z NAUK
PRZESZŁOŚCI

Trzeba było wielu przesłanek zarówno obiektywnych jak i subiektywnych, aby ta nauka wszystkich naszych walk narodowych 1792 — 1863 stała się własnością ideową najszerszych mas ludowych.

Zmieniła się struktura społeczna Polski. Nie dwór szlachecki, a komin fabryczny zaczął stanowić główną cechę krajobrazu decydujących gospodarczo, politycznie i kulturalnie ośrodków kraju.

Nazwa Sosnowca, tak zwanego od gęsto sosnowego boru, który niedawno jeszcze pokrywał jego okolice, zaczęła pojawiać się na cedulach, kursowych giełdy paryskiej.

Staliśmy się krajem rolniczo - przemysłowym. To oznaczało głęboką przemianę oblicza społecznego kraju.

Przemysł rodzi proletariát przemysłowy. Rodzi tę klasę społeczną, która spośród warstw ludowych jedyna może samodzielnie, bez wpływu elementów wyzyskujących (tego czy innego typu) doprowadzić cały naród do wielkich społecznych przemian. W klasie robotniczej, w dzielnicach fabrycznych Warszawy i Łodzi, w zadymionych osiedlach Zagłębia obóz polskiego postępu, obóz polskiej demokracji zdobywa to mocne, niezachwiane oparcie, które nigdy go nie zawiedzie.

W ślad za klasą robotniczą pojawia się w Polsce i jej ideologia: jasna, przenikliwa, nieprzejednana nauka marksizmu. Przyniesiona do kraju przez garść inteligentów, zapuszcza w Polsce głębokie korzenie, znajduje działaczy, którzy potrafili przetłumaczyć nie tylko jej kapitalne dzieła na nieskazitelną język polski, ale przetoż ogólnie jej założenia ideowe na konkretny język polskiej rzeczywistości. Nie ma siły, która by potrafiła wykreślić polski ruch robotniczy i wpływy ideowe marksizmu z dziejów Polski ostatnich kilkudziesięciu lat.

Te przesłanki stworzyły nową sytuację dla obozu polskiego postępu, dla obozu polskiej niepodległościowej demokracji.

W ponure lata okupacji nie szukał polski ruch robotniczy i sprzymierzony z nim ruch chłopski czy postępowy ruch inteligentów laski dworów obszarnczych i pałaców baronów kartelowych. Docenił w pełni znaczenie jedności narodowej, uczynił z niej naczelną wytyczną swęj polityki. Ale tworzył tę jedność, tworząc sam, własną siłą, siłą mas ludowych fakty dokończone, które miały decydujący wpływ na przebieg wypadków, które określiły nowe oblicze dzisiejszej Polski, jednocząc na gruncie tych faktów, na gruncie tej polityki, śmiało, dalekowzrocznie, konsekwentnie demokratycznej, wszystkie żywe siły narodu.

Takim samodzielnym aktem było wyjście w pole oddziałów Gwardii Ludowej, które zapoczątkowały ofensywne działania zbrojne wbrew dyktowanej wówczas z „Londynu” taktyce stania „z bronią u nogi”, rozpoczęły nowy rozdział walki narodu z niemiecką okupacją.

Takim samodzielnym aktem było stworzenie w pamiętną Noc Sylwestrową 1944 roku, Krajowej Rady Narodowej, która z woli obozu demokracji polskiej, wbrew wysiłkom zjednoczonej reakcji, stała się reprezentantką suwerenności Rzeczypospolitej.

Takim samodzielnym aktem było stworzenie Polskiego Komitetu Narodowego, który wbrew sabotażowi i skrytobójstwu reakcji, stał się podstawą odrodzenia państwowości polskiej.

Schemat rozwoju ostatnich kilku lat jest zasadniczo inny niż schemat rozwoju każdego z naszych powstań narodowych. Wtedy obszarncza reakcja zagarniała, zmuszała do kapitulacji jeden po drugim odłam postępowy, brała, coraz bardziej wyłącznie, ster losów kraju w swoje ręce. Dziś to my, to obóz demokracji zagarniamy spod wpływów reakcji jedną grupę chwilejną po drugiej, zmuszamy je do odżegnienia się od Raczkiwiczów, do uznania naszej platformy politycznej, do uznania Krajowej Rady Narodowej, zasadniczej demokracji kraju, reformy rolnej, granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, przyjaźni polsko - sowieckiej. Nie reakcja a obóz demokracji — obóz, w którym z awangardą robotniczą jednoczą się organizacje chłopów i inteligencji pracującej — określa dziś oblicze naszego kraju.

Określa je dlatego, bo miał i ma świadomość wagi i roli klas pracujących w życiu całego narodu, bo umie prowadzić politykę polską samodzielnie, bez oglądania się na zakusy i podszept reakcji.

Roman Werfel

Półrocze „Tygodnika Powszechnego”

„Muszę jednak bronić mnichów przeciw zarzutom, jakoby wymaleźli piekło. Jest to fałsz! Wymaleźli oni tylko sposób wybudzenia pieniędzy od żywych i dali kawał patetycznego piekła na ziemi. (Wolter, „Słownik filozoficzny”).

PO PRZEGRANEJ

Na Zjeździe Pisarzy w Krakowie nazwał ktoś „Tygodnik Powszechny” prasą niezależną. „Niezależną! — odpowiedział Jerzy Putrament — niezależną! od kogo? Czyż od Kurii Księżęco - Metropolitalnej, czy od Arcybiskupa Sapiehy i hierarchii kościelnej? Czyżby „Tygodnik Powszechny” nie przeprowadzał dokładnej cenzury artykułów, jakie publikuje? Czyż zapomnieliśmy, że ci sami ludzie, którzy dziś wydają „Tygodnik”, przeprowadzali faktyczną cenzurę nad trzema czwartymi całej prasy polskiej, sprzed września 1939 roku...”

„Tygodnik Powszechny” jest oficjalnie pismem katolickim. Reprezentuje jeśli nie cały obóz katolicki w Polsce, to przynajmniej jego część, która związana jest ściśle z hierarchią kościelną i posłuszna jej wskazaniom i taktyce. Katolicyzm jako ruch społeczny, polityczny i kulturalny nie zawsze jest i nie wszędzie taki sam. Nie sięgając daleko w przeszłość, wystarczy wymienić kler baskijski, który wiernie towarzyszył wojskom czerwonym aż do końca, po wzięcia i place kaźni i duchowieństwo hiszpańskie, kurczowo trzy mające się generała Franco. Był jednocześnie w Polsce ksiądz Trzeciak i ksiądz Kornilowicz, wychodził „Mały Dziennik” i wychodziło „Verbum”. We Francji obok Maritaina, Mauriac, Bernanos i grupy „L'Esprit”, niemniej żywy i silny był konserwatywny ruch katolicki, który skupił się wokół Petaina i rządu Vichy. Są różne katolicyzmy. Jakim jest więc współczesny polski ruch katolicki, którego wyrazem stał się „Tygodnik Powszechny”?

Zanim odpowiemy na to pytanie, musimy wyraźnie stwierdzić, że katolicyzm europejski, a zwłaszcza katolicyzm polski znajduje się po wielkiej przegranej. Przegranej moralnej i przegranej politycznej. Ludzie, którzy twierdzili, że istotną i najgłębszą treścią kultury europejskiej jest chrześcijaństwo, muszą albo wziąć odpowiedzialność za noc hitlerowską, albo też przyznać, że się mylili.

W wojnie, która przez sześć lat toczyła demokracja z faszyzmem, katolicy byli po obu stronach frontu. W latach śmiertelnej próby, która cały świat podzieliła na dwa obozy, w latach, kiedy nie było neutralnych, katolicyzm uchylił się od wyboru. Wojna podzieliła ludzkość nie tylko według przynależności narodowej, w większości państw Europa wojna stała się wojną domową. Jak niegdys w czasie wojen religijnych o przynależności do każdego z dwóch obozów decydowała nie wspólność krwi, ale wspólność idei. Katolicyzm uchylił się od walki, uchylił się od wyboru. W zmaganiach, które zadecydowały nie tylko o życiu i śmierci poszczególnych narodów, ale o dalszym trwaniu kultury europejskiej, katolicyzm okazał się martwą ideologią, martwym słowem. Oto wielka przegrana moralna katolicyzmu.

W ślad za nią nastąpiła przegrana polityczna. Wojnę wygrały trzy wielkie narody, wśród których katolicy znajdują się w zdecydowanej mniejszości, które reprezentują typ cywilizacji całkowicie świeckiej. W większości państw europejskich objęły władzę po wojnie demokratyczne ruchy ludowe, które uznają religię za sferę prywatnego życia jednostki, wobec której państwo zachowuje neutralność. Okres, w którym rządy używały świeckiego ramienia władzy duchownej, w którym uważały religię za moralną podporę władzy, należy do przeszłości.

Szczególnie dotkliwa jest przegrana polityczna polskiego katolicyzmu. Kościół katolicki korzystał bowiem w Polsce z prerogatyw daleko większych niż w jakimkolwiek innym kraju. Kościół wywierał praktycznie olbrzymi wpływ na kierunek naszej polityki wewnętrznej. Co więcej, katolicyzm polski był znacznie ściślej podporządkowany i uzależniony od Rzymu niż we wszystkich innych krajach. Tchórzliwe, żeby nie powiedzieć haniebne, postępowanie papieża w czasie wojny odbiło się poważnie na wpływach politycznych obozu katolickiego w Polsce.

Pius XII głęboko zawiódł nadzieje demokratycznej opinii świata. Pamiętam jak, kie wrażeń wywołała śmierć poprzedniego papieża w Paryżu. W laickiej stolicy katolickiego państwa chorągwie były spuszczone do połowy masztu, smutne były serca ludzkie. Pius XII stracił wszystkie sym-

patie, jakie Pius XI zdobył dla stolicy Piotrowej wśród jednostek i narodów miłujących wolność. Bo nie to jest ważne, że potępił papież dwa lub trzy zdania w którymś z hitlerowskich wyznań wiary, głoszącym nierówność ludzi i wszczępoteę państwa. Ważne jest, że milczał papież przez lat sześć. Milczał o Oświęcimiu, Majdanku i Buchenwaldzie, milczał, kiedy skazano na śmierć z głodu miliony żołnierzy radzieckich, milczał, kiedy do komór gazowych zwożono Żydów z całej Europy. To straszne milczenie zostało dwa razy zerwane; po raz pierwszy, aby zaprotestować przeciwko bombardowaniu przez wojska alianckie faszystowskiego Rzymu, po raz drugi, aby wołać o sprawiedliwy pokój dla zwyciężonych.

Nie chcę wchodzić się w paragrafy konkordatu, aby dyskutować, jak robi to „Tygodnik Powszechny”, czy papież bez zgody rządu polskiego nie mógł mianować jedynie biskupów „cum iure successionis”, a mógł wikariuszów apostołskich. Wolę, aby nie posądzano mnie o stronniczość, zacytować księdza Piwowarczyka, który wyliczając zasługi papieża Piusa XII dla Polski, pisze:

„Niestety nie mógł Pius XII — jak tego pragnął — zorganizować pomocy w zakresie żywności i odzieży dla Polaków, którzy zostali pod okupacją niemiecką w kraju. Niemcy pozwolili mu tylko na przysyłanie podręczników teologicznych dla kleryków, pewnej ilości wina mszalnego dla celów liturgicznych, a stłoczyć i owoców południowych dla dzieci ze schronisk RGO...”

Zaiste przesyłał nam papież to co było najbardziej potrzebne...

W jakiej mierze przegrana moralna i przegrana polityczna wpłynęły na oblicze współczesnego ruchu katolickiego w Polsce pokazuje lektura „Tygodnika Powszechnego”.

OBRONA CZŁOWIEKA

Dwadzieścia parę lat temu, po skończonej wojnie, ideologią przeważającą części inteligencji mieszczańskiej stał się pacyfizm. Pacyfizm nie rozumiał sensu wojny, pacyfizm nie chciał rozumieć historii. W żołnierzach, którzy walczyli po obu stronach frontu, pacyfizm dostrzegał ten sam skurcz przerażenia, kiedy uderzał pocisk armatni, ten sam głód, pragnienie i choroby. Pacyfizm nie widział różnicy pomiędzy żołnierzem niemieckim i francuskim; widział tylko węży, które żarły tak samo jednych jak drugich. Pacyfizm redukował człowieka do fizjologii. Pacyfizm po obu stronach frontu widział wybuch tych samych namiętności, instynktów i uczuć: miłości i nienawiści, strachu i cierpienia.

Z punktu widzenia fizjologii człowieka wojna jest bez sensu. Pacyfizm wierzył, że przekształcając instynkty człowieka, uniemożliwi wojnę. Zakazywał dzieciom bawić się ołowianymi żołnierzkami. Przytykał za to filuternie lewe oko, kiedy lądowały w Odessie okręty z armią interwencyjną, a kolumny Reichswehry przy pomocy czołgów i samolotów tłumy powstania robotniczego w Hamburgu i Bremie. Pacyfizm odwracał wzrok od społecznych i gospodarczych przyczyn wojny, upatrywał jej w bebecach ludzkich. Toteż nie dziwnego, że w polityce stosował łagodną perawazję, a byłym kombatanom zalecał zmnie natryski rano i wieczór dla uspokojenia nerwów. Pacyfizm wolę przemiany świata kierował na przemianę tego, co jest niemożliwe do przemiany.

Po obecnej wojnie hasła pacyfizmu nie mogą liczyć na popularność. Podobną rolę społeczną odgrywać zaczyna coraz wyraźniej nowe zawołanie, nowy mit: „obrona człowieka”. Kiedy przeglądamy „Tygodnik Powszechny” niemal w każdym numerze odnajdujemy artykuły, mówiące o poszukiwaniu człowieka, o zagubieniu człowieka, o znalezieniu człowieka, o powołaniu człowieka. I rzecz znamienna, kiedy pacyfizm powojenny uciekał od historii i jej rygorów w sferę wiecznych i niezmiennych instynktów i namiętności, kiedy od praw życia społecznego odwoływał się do biologii i odnajdywał tę samą naturę ludzką po obu stronach walczących, zwolennicy „obrony człowieka” odwołują się dziś do wiecznych i niezmiennych konieczności metafizycznych, do statutowych persony ludzkiej i odnajdują, jak dawniej pacyfiści, tę samą po obu stronach frontu naturę ludzką, z tą różnicą, że nie jak dawniej biologiczną, ale tym razem duchową. Oto ksiądz Piwowarczyk w artykule „Ku katolickiej Polsce” pisze:

„Czeka nas zadanie stworzenia nowego typu kultury dla pomieszczenia takich wartości „zachodu”, jak prymat ducha nad materią, wyzwolenie osoby ludzkiej z tyranii warunków zewnętrznych, etyczny sens życia...”

Oto Zofia Starowiejska - Morstinowa w artykule: „Szukam człowieka” żąda:

„Aby literatura postawiła przed nami człowieka pełnego ani szarego ani czerwonego, ani białego, ale w końcu — człowieka bezprzymiotnikowego, aby ukazała nam tego człowieka w całej jego odnalezionej godności, w całej jego cierpiącej słabości i niedościgłej wielkości.”

Wtóruje jej prof. Kleiner („Zagubiliśmy człowieka”):

„Zrozumienie i uznanie człowieka — jednolite, poszanowanie dla człowieka, rozwijanie walorów osobowości musi być postulatem nowej Polski i nowego świata. Zrozumieć trzeba, że na to, aby naprawdę coś zdziałać, choćby nawet w skromnej dziedzinie, trzeba być kimś.”

Oto wreszcie ksiądz Piwowarczyk już zupełnie wyraźnie stwierdza:

„Prawidła moralne są niezienne i powszechne. Są niezienne, bo nie ulega zmianom źródło, z którego płyną. Są powszechne, bo ta sama natura ludzka jest w Polaku, Rosjaninie, Włochu, Murzynie lub Japończyku.”

Pacyfizm zagubił sens wojny w instynktach, namiętnościach i odruchach mechanizmu ludzkiego. Patrząc na wojnę od strony biologicznej natury człowieka dostrzegał jedynie bezsensowny i okrutny koszmarny. Ale okazuje się, że z punktu widzenia niezmiennych konieczności metafizycznych wojna staje się równie niezrozumiałą, bezsensowną, niezależną od działalności człowieka:

„Bo wszyscy odczuliśmy — pisze Stefania Skwarczyńska — że wojna dzieje się tak, jak dzieje się zdarzenie kosmiczne. Bez woli i ponad decyzją człowieka. Odczuliśmy, że w pewnym momencie wypadła z rąk kierowników światowej polityki. Że nie jest rzeczą natury humanistycznej. Nie człowiek, wbrew własnej zarozumiałości, ją stwarza. Odczuliśmy, że pędzi ją i kształtuje siła wysoka i anadra. Sensy, spłoty i rozploty, których przecież nie wyjaśnia głupie słowo — przypadek.”

Nie tylko zresztą wojna dla „obronców” człowieka jest zdarzeniem kosmicznym, pełnym sensów, spłotów i rozplotów.

Z wyznaczonego metafizycznego traci sens cała historia ludzkości, jakiegokolwiek świadome oddziaływanie na bieg dziejów:

„Procesy historyczne — pisze redaktor Tygodnika — Józef Turowicz — są wynikiem współdziałania wielu i tak różnorodnych czynników, że nie może być tu mowy o jakimś wyraźnym przewidywaniu i planowaniu. Historia nie bywa realizacją ludzkich planów, choćby najgenialniejszych. Historia jest tylko spełnieniem planów Opatrzności, ale te nie są nam znane, a nawet ex post, ich odczytanie bezbłędne nie jest możliwe, jak długo księga dziejów jest otwarta... O tych prawdach trzeba pamiętać, bo doświadczenia z faszyzmem ucza, że ambicja kształtowania historii według planów ludzkich prowadzi zawsze do gwałtu na żywym organizmie zbiorowości ludzkiej, a rezultat i tak osiągnięty nie bywa.”

Pacyfiści na wołania o zmianę warunków społecznych, jakie wywołują wojnę, odpowiadali niezmiennie: zmieńcie własną psychikę, wypłenicie nienawiść z waszych serc. Jest rzeczą naprawdę śmieszną, jak po upływie dwudziestu lat nowa mitologia mieszczańska „obrony człowieka”, przemawiająca w końcu różnym języku, odwołująca się do zupełnie innych uzasadnień, formuluje te same co niegdys wskazania.

„Najważniejsze — pisze Hanna Malewska — to okiełznać bestię w człowieku. I na tym froncie nie ma z góry wyznaczonych dowódców i szeregowych. W sobie przede wszystkim zdusić, wylepić te same siły, które obracają w perzynę świat.”

Ustrój! Przebudowa gospodarki! Zmiana warunków społecznych! — głusztwo wołają zgodnie „obroncy człowieka”. To nie uchroni przed wojną. Ważny jest jedynie statut persony ludzkiej:

„Obojętne są — (sc. dla katolicyzmu) — pisze ksiądz Piwowarczyk — formy ustrojowe. Interesuje go tylko treść, którą zawierają.”

I dalej pełnym głosem redaktor Turowicz:

„Przebudowa ustroju, zmiana instytucji, to tylko ramy, które trzeba wypełnić nową treścią. I ta treść jest dla ram ważniejsza, dla tej treści ramy istnieją. Jeśli ostatecznie kształt dziejów nie jest nam bezpośrednio dany, to właśnie dlatego, że formuje się w infra-historycznym nurcie rzeczywistości. I ten nurt jest właśnie nam dostępny. Ten nurt to życie codzienne, praca, kultura.”

Pacyfizm mieszczański stosował jako uniwersalny środek przeciw wojnie hydroterapię dla narodów i jednostek. Obrońcy metafizycznej osobowości ludzkiej stosują środki jeszcze prosijsze. Oto Stefania Skwarczyńska pragnie uwolnić czło-

wieka od wszystkiego co nazywa „własnym” od świata rzeczy, od komfortu, jaki daje cywilizacja. Pragnie go widzieć namig wóbec Boga, aby:

„Miał równe prawa do realizacji wola ideału moralnego. Heroizm — pisze — i świętość są niewątpliwie najbardziej demokratycznymi z ideałów. Każdy je może osiągnąć, kto z pomocą Bożą silnie chce”.

Rzeczywiście są to nie tylko najbardziej demokratyczne z ideałów, ale i najtańsze, a przez to praktyczne i dostępne dla ubogich. Hitler robił, co mógł, aby namówić nas na praktykowanie tych cnót. Co do heroizmu udało mu się, ze świętością poszło znacznie gorzej.

WŁAŚCICIEL ZAWSZE POZOSTAJE WŁAŚCIELEM

Aby przekonać się, co oznacza wieczny i niezmienny statut moralny natury ludzkiej, odejść musimy od rozważań filozoficznych i moralnych, a przejść do artykułów gospodarczych i społecznych. Tuż metafizyczny język tygodnika zaczyna się konkretyzować. Z „wiecznych i niezmiennych praw moralnych” wynikają dosyć uchwytne praktyczne wskazania. Zaczynamy od sprawy własności. Po wycieciu wszystkich encyklik, po przyznaniu doktrynie komunizmu (oczywiście w świetle teorii) największych zalet, po stwierdzeniu, że w myśl nauki Kościoła na każdej własności ciąży serwitut społeczny, stwierdza ksiądz Piwowarczyk ni mniej ni więcej:

„Instytucja własności prywatnej nie jest kategorią historyczną, która panuje w jednym tylko okresie, by w drugim zrobić miejsce innej. Idzie o ludzkość od początku i pójdzie, aż do jej końca. Jej źródło stanowi nie gwałt, ale prawo natury... Natura ludzka, brana gantkowo, zmianom zasadniczym nie ulega”.

Przetłumaczone na zwyczajny, zrozumiały język oznacza to:

„Nawet wtedy (czytuję dalej księdz Piwowarczyk), gdy na skutek konieczności życia zbiorowego dokonuje się przemiana w ustroju gospodarczym, nie naruszona powinna zostać zasada, iż właściciel zawsze pozostaje właścicielem i swych praw nie traci”.

Nic więc dziwnego, że prof. Krause („Droga do dobrobytu”) widzi jedyną drogę podniesienia wydajności rolnej:

„przez stworzenie gestej sieci niższych i odpowiedniej ilości średnich szkół rolniczych, przez stworzenie gestej sieci gospodarstw wzorowych, których kierownicy powinni być inżynierami rolnymi dla okolicznych gospodarstw, i wreszcie przez zabezpieczenie odpowiednich kredytów dla gospodarstw rolnych”.

Jest to niemal żywym przekalkowany program gospodarzy w dziedzinie rolnictwa... Ozone! Nie darował sobie nawet autor obrony „niepodzielności gospodarstw rolnych”, co oznacza może (bo brak jest szczegółów) albo rozszerzenie instytucji majoratu na całą własność obszarową, albo też za przykładem hitlerizmu ustanowienie niepodzielnej zagrody dziedzicznej.

Jeśli chodzi o zagadnienie pracy najemnej, „Tygodnik” ogranicza się do propagowania zasad encyklik papieskich. Niczego więcej nie oczekiwaliśmy. Dziwi nas tylko jedno, że owe encykliki papieskie z roku 1894 i 1921 urastają nagle na łamach „Tygodnika” do rozmiarów burzy dziejowej, do rewolucji społecznej, która zmieniła zasadniczo położenie robotnika. Bo oto w jednym zdaniu, w jednym małym zdaniu zrównana zostaje stuletnia walka o polepszenie doli proletariatu, jaką prowadził socjalizm, z dwiema encyklikami papieskimi. W jednym małym zdaniu prof. Kutrzeba równa pracę międzynarodówek, rewolucje, walki, strajki, pochody, 100 lat zacieklej walki klasowej z dwiema wypowiedziami papieża:

„Dopiero prądy charytatywne i akcja Kościoła (encykliki Rerum Novarum i Quadragesimo Anno) z jednej strony, z drugiej zaś akcja socjalistyczna przyniosły wreszcie zwrot w tym traktowaniu robotnika. Zaczęto dbać o niego, rozwinęła się opieka socjalna, wprowadzono obowiązkowe ubezpieczenie społeczne...”

To drobny przykład. Jest on jednak znamienity. Za każdym bowiem razem, kiedy publicyści „Tygodnika” od spraw wiecznych i subtelnych rozróżnień scholastycznych przechodzą do zagadnień historycznych lub praktycznych, gubią się i tracą. Oto np. prof. Eugeniusz Romer usiłuje udowodnić na materiale statystycznym zgubne skutki państwowej polityki gospodarczej. Znana jest anegdota o statystyce i trzech rodzajach kłamstwa. Mniejsza z nią. Prof. Romer opiera swe wywody na książce S. Łoży, „Czy wiesz kto to jest”, która zawiera 4800 nazwisk „wybitnych polskich osób, działających twórczo lub organizacyjnie”. Z książki tej wybiera Romer nazwiska duchownych i wojskowych i porównuje je następnie z ogólną liczbą wojskowych i duchownych w Polsce. Po tym stwierdza, że na 100.000 kandydatów do „wybitności” wojskowi dali

117, duchowni 494, a urzędnicy państwowi tylko 31. Stąd prosty wniosek, że wojskowi i duchowni byli w Polsce sanacyjnej warstwą najbardziej twórczą i najwięcej dającą procentowo ludzi wybitnych.

Aby te „statystyczne” wywody obalić wystarczyło by stwierdzić, że wśród 247 duchownych, których Romer za książką Łoży uznaje za wybitnych, było 139 zatrudnionych w administracji kościelnej, a wśród 354 „wybitnych” wojskowych 259 pracowało w administracji, czyli krótko mówiąc na „wielkiego” człowieka pasowany został każdy wojskowy od pułkownika wzwyż i każdy duchowny od prałata w górę. To jeszcze jednak nie wszystko. Miałem okazję poznać przypadkowo jak wyglądało w praktyce układanie owego słownika. Pewnego razu przyszedł do mnie zatabaczony starszy i zaproponował mi (miałem wtedy 22 lata) umieszczenie mego życiorysu w owym słowniku za skromną cenę, zaobowiąznia książki. Wynosiło to kilkadziesiąt złotych. Za 100 złotych wydawca umieszczał dodatkowo fotografię „sławnego” człowieka. Biedny starszy miał 20 proc. od tych transakcji. Oto materiały, z których znakomity polski statystyk i geograf wyprowadza wnioski, że:

„Cały polski przemysł i handel ucierpiał dotkliwie przez podważenie i zahamowanie inicjatywy indywidualnej fałszywą i brutalną „planowością” państwa...”

Mała rzecz, a wstydl!

W dwudziestu siedmiu numerach „Tygodnika Powszechnego” nie znalazłem ani jednego artykułu czy choćby nawet wzmianki o reformie rolnej, o upaństwowieniu kluczowych gałęzi przemysłu, o polityce walutowej rządu. Milczenie to jest dostatecznie wymowne. Wątpię bowiem, aby zasada, „qui tacet consentire videtur” obowiązywała „wiecznego człowieka”.

CIEMNOGRÓD

O ile w sprawach gospodarczych i społecznych „Tygodnik” zachowuje daleko idącą rezerwę i powściągliwość, o tyle w sprawach kultury, oświaty i wychowania wypowiada się wyraźnie i zdecydowanie. Znowu po sześciu latach przerwy słyszymy ten sam bełkot ponurych mnichów, i piski zawiedzionych żytek, skazujące na zagładę wszystko, co stworzyła kultura europejska od końca średniowiecza do chwili obecnej.

„Europa jest pojęciem historycznym — pisze Jerzy Turowicz — była kiedyś... Otóż parowiekowy okres, który nazywamy historią nowożytną, od zmierechu średniowiecza aż po dzień dzisiejszy jest historią rozkładu Europy. Mimo całej różnorodności tego okresu, mimo całej jego wewnętrznej dyalektyki rozwojowej, mimo niewątpliwie dokonywającego się w nim postępu. (Dodajmy tu — postępu przez małe p — ideę bowiem Postępu przez duże P, wywodzącą się z filozofii francuskiej wieku oświecenia dawno złożyliśmy do lamusa fałszywych mitów)”.

Turowiczowi dzielnie sekunduje w apoteozie powrotu do średniowiecza, w nienawiści do współczesnej cywilizacji, do postępowych form gospodarki — Stefania Skwarczyńska („Pod banderą gotyku”):

„Staniemy przeciw ideałowi kultury, dyskredytowanej przez dzieje, opartej o wygodę i przed „szczytowi”, ku któremu dąży swą cywilizacją: komfortowi. Cywilizacja i kultura nie mogą mieć za zasadniczy cel prostego uwygodnienia życia. Kresom dozwolonym w ułatwieniu życia jest troska o to, aby braki zewnętrzne nie wpłynęły hamująco na rozwój duchowy. To nie walka z waler-klozetem i apoteozą kozy Gandhiego. To walka z absorbującym nasz czas i naszą duszę sybarytycznym owocem nowoczesnej techniki... Renesansowość (jako przeciwieństwo gotyku) doprowadziła naszą kulturę do zużożenia w zakresie dynamizmu, a jednocześnie zacieśniła człowieka. W kulturze gotyku gra sobą pełny człowiek; każdy jest uzbrojony do walki o zdobycie najważniejszej war-

tości. Pod tym naprawdę istotnym względem „biedaczyna” stoi obok króla”.

Niestety, pod wszystkimi innymi względami bardzo się od siebie różnią.

Chór jest zgodny. Józef Maria Święcicki rozprawia się ze złudzeniami oświecenia. Ksiądz Szczepan Sobalkowski broni wprost, expressis verbis, doktryny egzystencjalizmu, „oficjalnej” filozofii hitlerowskiej, Henryk Szarski odkrywa źródła hitlerizmu w darwinizmie, a Arkadiusz Piekara z wywodów o indeterminizmie w świecie atomów wyprowadza wnioski o bankructwie filozofii materialistycznej.

Główna uwaga ciemnogrodu skupiona jest jednak na prawie małżeńskim. I tutaj może najbardziej zadziwiający fakt, to przytoczenie in extenso „listu pasterskiego biskupów polskich z roku... 1921”. Czyżby naprawdę „Tygodnik Powszechny” uważał, że nic się w Polsce od roku 1921 nie zmieniło. Ale może zresztą i „Tygodnik” ma rację. Dla autorów „listu pasterskiego” nie istnieje bowiem historia. Każą nam:

„przenieść się myślą w pierwsze dni dziejów ludzkości. Kiedy Adam poznał myśl Bożą nad sobą i nad swoją małżonką rzekł: „Oto kość z kości moich i ciało z ciała mego. Będzie się nazywała mężowa, bo z męża wzięta jest. Przeto opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej i będą dwoje w jednym ciele.”

Wobec tego rodzaju argumentów w obronie ślubów kościelnych kwestia 20 czy 24 lat nie ma oczywiście najmniejszego znaczenia. Uderzająca jest tylko zacieklność, z jaką broni „Tygodnik Powszechny” sprawy, którą przegrał Kościół we wszystkich oprócz Hiszpanii generała Franco państwach świata. Wytłumaczenie jest tylko jedno. W jednym ze swych artykułów przytacza Boy rozmowę z sanacyjnym dygnitażem, z okresu, kiedy ważyły się losy projektu prawa małżeńskiego Komisji Kodyfikacyjnej”. „Pytałem go — pisał Boy — czy sądzi, że nowa ustawa przejdzie. Wzruszył ramionami. Czy ją wiem? odparł. Co tu gadać. To jest przede wszystkim kwestia pieniężna. Kler na tym dużo traci. Jura stolae trzeba by odszkodować. To są duże sumy. Skąd na to wziąć pieniędzy? Nervus rerum, w tym rzecz; wszystko inne idzie dopiero po tym”. Poza sprawą ustawodawstwa małżeńskiego „Tygodnik” poświęca najwięcej miejsca szkolnictwu. Oto drugie miejsce czułe. Prawo małżeńskie — to podstawa materialna kleru. Oświata — to „być albo nie być” ciemnogrodu. Rzecz prosta, najważniejsza dla „Tygodnika” jest sprawa utrzymania przymusowego wychowania religijnego w szkołach. I tutaj księdz Piwowarczykowi zdarzyło się napisać ustęp, który jest małym arcydziełem jezuickiej perfidii:

„Tylko ten — czytamy — kto pojęcia nie ma o katolickiej pedagogice i o praktyce Kościoła może sądzić, że Kościół uprawia lub choćby tylko toleruje przymus w tej dziedzinie. Odrzucając przymus Kościół jednak stoi na stanowisku obowiązkowości nauki religii i praktyk religijnych w szkole dla dzieci zapisanych jako katolickie. Są bowiem dwie różne sprawy. Przymus sprzeciwia się istocie religijności, ale obowiązkowość nauki religii stanowi integralny składnik katolickiego wychowania w szkole.”

Chciałbym bardzo móc się osobście spytać księdza Piwowarczyka, jaka jest różnica między przymusem a obowiązkowością nauki religii. Tymczasem opowiem jednak ze swej strony małą historię: Chinard, w głosnej pracy o wpływie literatury podróźniczej i misjonarskiej na kształtowanie się mitu „szlachetnego dzikus”, przytacza list bractwa zakonu franciszkańskiego, który w połowie XVII wieku wyruszył nawracać Indian w dorzeczu Missisipi. Ów bractwo trafił nieszczęśliwie na chwilę przygotowania pieczeni z jeńców wojennych. Oburzył się bardzo i usiłował wytłumaczyć wódzowi Siuksów czy Komanców niestosowność jego postępowania.

nia. W odpowiedzi na to zapytał wódz bractwa, czy biali ludzie nie palą kacerzy na stosach? „Tak — odpowiadają — pełen dobrej wiary bractwa, ale jest wielka i zasadnicza różnica, biali ludzie nie palą grzeszników na wolnym ogniu”. Oto subtelności, które powinien ocenić ksiądz Piwowarczyk.

„Tygodnik” zabiera głos nie tylko w sprawie wychowania religijnego. Jan Lubowiecki wypowiada się w artykule „Przymus szkolny” za ograniczeniem obowiązkowego nauczania do lat pięciu. Podobnie Jan Krobicki w artykule „Szkoła powszechna i średnia” uważa, że dla mas młodzieży chłopskiej wystarczy zupełnie sześć lat nauki:

„O ile bowiem — pisze — cykl szkolny trwa za długo, spowoduje automatycznie obniżenie poziomu, nuda i jałowość”.

Nie dotyczy to oczywiście szkoły dla uprzywilejowanych, 6-letniego gimnazjum, w którym:

„praca jest nad wyraz trudna, ale wdzięczna i konieczna... Szkoła zasadnicza stanowi bowiem fundament najpowszechniejszej oświaty, średnia zaś ma dać stosunkowo wysoki zasób wiedzy pogłębionej dla umysłowej elity społeczeństwa, dla jej przewodników i kierowników w pełnym tego słowa znaczeniu współwórców kultury. Przymus szkolny, przywiązany integralnie do stopnia niższego, uniemożliwia wszelką selekcję, wskutek czego następuje tam znaczne obniżenie stopnia wiadomości wobec konieczności dostosowania się do ogółu.”

O uratowanie zasady selekcji klasowej w szkole autorowi oczywiście chodzi. Gdyby projekt jego został przyjęty, mielibyśmy na nowo dwa rodzaje szkoły — dla uprzywilejowanych i dla prostaczków.

Równie charakterystyczne są wypowiedzi Wojciecha Kętrzyńskiego na temat inteligencji polskiej. Autor występuje przeciw terminowi „inteligencja pracująca”, który pozwala podejrzewać fakt niewiarogodny, iż istnieje w Polsce szeroka warstwa ludzi oświeconych i kulturalnych narodowi zupełnie niepotrzebnych. „Gdzie się ci ludzie kryją — pyta Kętrzyński — z czego oni żyją”. Ponieważ autor nie daje na to pytanie odpowiedzi, odpowiem za niego: — Są to obszarnicy.

„Dziwnym się wydają — konkluduje na zakończenie artykułu Kętrzyński — niektóre wypowiedzi prasowe biadające nad nieproporcjonalnym stosunkiem poszczególnych warstw społecznych na wyższych uczelniach. Nie ma przecież nadprodukcji inteligencji. Nie ma walki o rynek zbytu. Jest tylko brak ośrodków naukowych. Trzeba najpierw wypełnić braki lat ostatnich. Mamy w Polsce tysiące niedouczonych młodzieży. Jej się należy pierwszeństwo. Przez ten czas niech się nowe kadry gruntownie, a nie pobieżnie przygotowują, by mogły być wchłonięte przez inteligencję polską. Jest dziś obowiązkiem całego społeczeństwa dbać o to, by poziom naszej inteligencji nie obniżył się, lecz podniósł.”

Czyli krótko i niedwuznacznie — dopuścić do wyższych uczelni tylko te grupy społeczne, które dotychczas miały do nich otwarty dostęp. Reszta niech się uczy i czeka, aby inteligencja polska mogła ją wchłonąć bez obniżenia swego poziomu.

Dobiegliśmy końca. Z wiecznego statutu osobowości ludzkiej i niezmiennych praw natury wynika, że:

- średniowiecze jest wzorem cywilizacji, odpowiadającej potrzebom ludzkim;
- że postęp nie istnieje;
- że technika jest wrogiem życia duchowego;
- że nauki ścisłe są godne lekceważenia;
- że prawo małżeńskie musi zostać nie zmienione od Adama i Ewy;
- że w szkołach konieczne jest przymusowe wychowanie religijne;
- że w miarę możliwości należy ograniczyć czas nauki obowiązkowej dla dzieci chłopskich;
- że studia uniwersyteckie powinny zostać przywilejem bogatych.

WNIOSKI

Po przegranej moralnej i politycznej, po doświadczeniach sześciu lat wojny, katolicyzm polski nie zmienił zasadniczo swego oblicza. Pozostał nadal na straży tych samych interesów klasowych, jakich bronił przed rokiem 1939. Nie stał się częścią wielkiego obozu postępu i reform społecznych w Polsce, który walczy o lepsze, bardziej ludzkie i bardziej sprawiedliwe materialne warunki ludzkiego bytu. Katolicyzm ze stanowiska ofensywnego przeszedł jedynie na pozycję obronną. Walczy o zachowanie swoich przywilejów i uprawnień, o opóźnienie postępu społecznego.

Zmieniło się obiektywne położenie obozu katolickiego w Polsce, nie zmienił się duch zakrycia. I z tym zastrzeżeniem zgodzić się możemy na wnioski redaktora „Tygodnika Powszechnego” Jerzego Turowicza, że: „wojna i okupacja nie wniosły żadnych zasadniczych zmian w rzeczywistość katolicyzmu polskiego”.

Jan Koźł

JÓZEF STACHOWSKI.

Po lekturze „Nowego Kuriera”

Coraz bardziej chrypi mój głos,
gdy zatacam się oślepy i bierny
wiozą Boga (smutny i bosy)
zamkniętego w samochodzie pancernym

Wypełnił się. Oto On
wraz z bombami na ziemię spada,
Chrystus zburzył linię Maginot,
podał Paryż i Calais podpalit.

Jeszcze Londyn, New York i Moskwa
zbuntowane przeciwko Panu,
Błogosławił papież powietrzne wojska
lejące przeciw polskim tyranom.

A mnie głos się załamał i krew
zamiatł przez oczach się toczy,
Boże plectwa, kwiatów i drzew
owinięty w srebrne warkocz —

1943

KAJETAN KOTOWICZ.

SKUTKI DWU REWOLUCJI

Nie ulega wątpliwości, że mniej ofiar, mniej wysiłku kosztowało przeprowadzenie zasadniczych reform społecznych w Polsce aniżeli kosztować będzie ich utrwalenie. Jesień i najbliższa zima, pierwsza po wojenna zima w wolnej Polsce, będzie okresem próby charakterów, próby wytrzymałości psychicznej i fizycznej dla nas wszystkich.

Robotnicy i urzędnicy nie są zaopatrzeni na zimę w węgiel, w wielu okręgach kraju nie otrzymują przydziałów żywnościowych w racjach wystarczających do życia, wynagrodzenia w gotówce są niewspółmiernie niskie w stosunku do cen wolnorynkowych na żywność, obuwie i odzież. Są powiaty i województwa (Pomorze), w których brak środków pieniężnych nawet na wypłatę normalnych pensji, w których pracownicy po kilka miesięcy czekają na należne im wynagrodzenia. O dodatkowym zaprowiantowaniu w obrębie poszczególnych warsztatów pracy, nie może być tam mowy.

Trzeba będzie dużo siły woli, charakteru i wiary w słuszność sprawy, aby nie dać się zmusić do zmiany tej linii w polityce gospodarczej, którą Polska od chwili wyzwolenia realizuje, żeby nie ulec presji ludzi, którzy świadomie lub nieświadomie gotowi są oddać dom cały za miskę soczewicy czy bardziej współczesnego ryżu.

Rzecz oczywista, że sami, bez obcej pomocy, szybko kraju nie odbudujemy. Żeby móc o tę pomoc się zwrócić, żeby mieć możliwość zapłacenia za nią dobrami gospodarczymi a nie koncesjami, które wybiegają daleko poza normalną spłatę odsetek, musimy produkować, produkować jak najwięcej, jak najtaniej. Walka o poziom naszej wytwórczości, o normy produkcyjne, o wykonanie planów w kopalniach, fabrykach i transporcie — to walka o polityczną niezależność warstw produkcyjnych, walka o zewnętrzną niezależność kraju.

Im silniej i bezwzględniej akcentować będziemy postulat walki o podniesienie produkcji krajowej, im konsekwentniej będziemy realizować zasadę parytetu w obiegu pieniężnym — parytetu aktualnej wytwórczości — tym energiczniej przystąpić trzeba do realizacji zarządzeń, które umożliwią robotnikom pracę.

Robotnicy domagają się podwyżki płac. Robotnicy tej odwyżki — realnie — nie otrzymają i zyskać nie mogą. Wartość obecnej produkcji przemysłu i rolnictwa nie dorównuje jeszcze wysokości obiegu pieniężnego. W tej sytuacji podwyżka płac coś mogłaby oznaczać innego jak inflację? Byłaby tylko zabiegiem znieczulającym na okres paru tygodni, by później tym boleśniej odbić się na budżetach robotniczych rodzin.

Żeby przyjąć z pomocą ludności miast, a w szczególności robotnikom ciężkiego przemysłu i górnictwa, zaciągamy już po raz drugi w ciągu roku pożyczkę wewnętrzną. Zaciągamy ją w naturze. Po raz drugi w ciągu roku zwrócić się rząd do chłopów o dostarczenie miastom żywności. Świadczenia rzeczowe — sięgające przeciętnie 20 proc. zbiorów — muszą umożliwić sprawne funkcjonowanie przemysłu. Od tego, czy będą one bez reszty oddane, czy chłopcy wywiążą się z nałożonego na nich obowiązku, zależy będzie rozwój politycznej i gospodarczej sytuacji kraju w najbliższym okresie.

Przez dwie istotne rewolucje przeszła Polska w ciągu ubiegłego roku. Pierwsza z nich — reforma rolna — rozpoczęła z Lubelszczyzny przy akompaniamencie strażaków bratobójczych ze strony reakcji, a więc z zachowaniem tradycyjnych akcesoriów każdej rewolucji. Druga, niemiernie doniosła w swych aktualnych skutkach gospodarczych, przyszła jakby cichcem, bez rewolucyjnego patosu, samoczynnie, lecz nie mniej głęboko sięgając w nasze obecne życie. Ta druga rewolucja to zerwanie z systemem pracy niewolniczej, praktykowanym szeroko przez Niemców.

„Za Niemców było lepiej” — często słyszy się to zdanie, szczególnie na terenach byłej G.G. W istocie! Za Niemców było lepiej — więcej było towarów niż dzisiaj łatwiej było utrzymać rodzinę przy życiu, ceny większości artykułów pierwszej potrzeby były niższe niż obecnie; kombinatorem, kradzieżą i szmuglem radzono sobie niegorzej. Polska w czasie okupacji nie była zasilana towarami UNRRA, kraj nie otrzymywał pożyczek zagranicznych na rozbudowę przemysłu i handlu, a mimo to stopa życiowa ludności nie była niższa niż obecnie. Ale za te towary, których było w handlu więcej niż obecnie, za niższe niż teraz ceny niektórych artykułów, za większą łatwość zrównoważenia budżetu do-

mowego, za pozory znośnej gospodarczo egzystencji wszystkich żyjących na wolności — płacili ci, którzy jej byli pozbawieni.

Na pracy bowiem niewolników i rabunku mienia żydowskiego, a nie na złocie, bogactwach naturalnych i sprawnej organizacji oparta była głównie niemiecka maszyna państwowa, której część przez pięć lat stanowiliśmy. Gdyby można było ująć cyfrowo stan zatrudnienia Polaków w rolnictwie i przemyśle niemieckim, gdyby można było cyframi produkcji przeciwstawić cyfry zgonów, cenom grzebieni i masła — cyfry kalectw i schorzeń, a cenom ubrań i butów — wartość ubytku naszych sił żywotnych — wówczas dopiero ujrzelibyśmy jasno, że za tych, którzy żyli, płacili ci, których dziś między nami nie ma.

Ten ludożerczy system gospodarczy runął. Ale dla Polski, dla tak zniszczonego kraju jak nasz, nie ma na razie powrotu do przedwojennej stopy życiowej. Odszkodowania, które nam Niemcy płacą i będą płacić, nie są w stanie pokryć w 10 proc. strat materialnych, któreśmy ponieśli. Niemcy nie są w stanie całkowicie wyrównać strat, które wyrządzili Europie, gdyż wartość ich majątku narodowego stanowi tylko nieznaczny procent wyrządzonych przez nich szkód.

Koszty tej wojny, tu w Polsce nasze

koszty, będziemy musieli pokryć sami. Od roku już je wszyscy płacimy. Rewolucja w warunkach pracy pogłębia znacznie ciężkie położenie robotników i pracowników umysłowych. Wyżwici bowiem i ubrać musimy obecnie i tych także spośród nas, te miliony naszych najbliższych, którzy w latach okupacji pracowali nie jedząc i nie odziewając się.

Tę sytuację, skutki rewolucji w warunkach pracy, trzeba sobie dobrze uświadomić, gdy rozważa się sprawę poziomu płac robotniczych. Na ich wysokości i sile nabywczej ciężkim brzemieniem kładzie się obecnie musi cena naszej wolności. Dzielimy się teraz chlebem, butami, tytoniem i mięsem z tymi, którzy przez lata całe je produkując, byli tych dóbr pozbawieni. Oszczędzamy, aby móc uruchomić warsztaty pracy, w których pozbawieni możliwości zarobkowania znajdują zatrudnienie.

Fornal, który w wyniku reformy rolnej otrzymał ziemię, będzie miał się tej zimy gorzej niż miałby u swego pana. Ale na pewno za jego powrotem nie tęskni i jeszcze tej jesieni, mimo iż pracował pożyczonym koniem, bez nawozów i potrzebnych narzędzi, odda część zbiorów dla miast. Robotnik, mimo iż zimę najbliższą spędzi w gorszych warunkach niż niejedną zimę okupacyjną — do swojej fabryki mieć będzie lepszy stosunek, niż miał go przed wojną.

TADEUSZ KOTARBINSKI

Sprawozdanie z podróży służbowych

„Ustalenie składu osobowego nowego uniwersytetu państwowego wymaga ruchliwości ze strony czynników, którym je powierzono; zwłaszcza jeżeli początek roku akademickiego — za pasem, a prace stabilizacyjne rozpoczynają się bardzo a bardzo późno. Czy mogę liczyć na ułatwienia w sposobach komunikacji?” — „Ależ to się rozumie samo przez się. Wszelkie władze udziela wam poparcia. Lokomocja natrafia wprawdzie na pewne trudności, które wszystkim dają się we znaki, ale będziemy z nimi walczyli i nie damy się”. — „Dobrze więc, spróbuj!” Taka mniej więcej odbyła się rozmowa przed kilkoma miesiącami, a dziś nie bez resentymetu przypominam ją sobie, zważywszy na treść zdobytego doświadczenia podróżniczego.

Zaczęło się od tego, że musiałem przez miesiąc czekać na obiecany samochód w odległej miejscowości, skąd inaczej przeprowadzić się było niepodobniństwem. Jakimś biedakiem wśród zamożniejszych ministerstw jest nasze czcigodne Ministerstwo Oświaty! Ani władza, ani bogactwo nie przypada mu w udziale. A cóż dopiero mówić o takich instytucjach jak uniwersytet, Partia, armie, milicje, szpitale itd. zabierają bez ceremonii przyznane mu legalnie budynki. Nie ma gdzie urządzić laboratorii. Profesura gnieździ się prowizorycznie w mizernym hotelu albo rozjeżdża się w świat szukać czegoś lepszego. Wielu zwleka z przybyciem, bo nie ma dokąd przybyć, skoro dla uniwersytetu brak miejsca pod dachem. A jest go dość dla osób zbrojnych, osób wpływowych, osób zamożnych — jakże często zamożnych nie dzięki publicznym zasługom. Ale odbiegamy od głównego tematu, od podróży służbowych. Porządne auto i dostateczne porcje benzyny rozwiązywałyby problemat komunikacji. Jednakże na podanie złożone bardzo dawno pod bardzo wielmożnym adresem dotąd nie ma ani cienia odpowiedzi. A jeździć (trzeba. Więc radosna to była chwila, gdy udało się nabyć samochód. Atoli „mieć do dyspozycji” samochód, a „móc użyć” tegoż samochodu — nie to samo znaczy. Trzeba wszak wyremontować maszynę. Długo trwa remont, a przy odbiorze wychodzi na jaw, że maszyna nie może ruszyć z miejsca. Nie tylko bowiem defekty pozostały nadal, ale co gorsza skradziono koła. Ukradziono je właśnie w pracowni zakładu, który dokonywał naprawy. Po otrzymaniu innych kół w zamian — radość znowu i znowu radość krótkotrwała. Rejestracji brak... Okazać trzeba wehikuł, wystarać się o blankiety na miejscu, tu szereg formalności załatwić, w Warszawie uzyskać podpis i pieczęć, wrócić z tym i czekać, czekać tak długo, jak długo czekać każą. Wyprawione na koniec w pierwszą podróż, próbna auto nie wróciło już do uniwersyteckiego garażu, ponieważ władze bezpieczeństwa zarekwirowały je z miejsca. Okazało się bowiem, że maszyna, zanim się dostała w ręce ostatnich posiadaczy,

zmieniała właściciela, a któryś z jej właścicieli poprzednich otrzymał ją był w sposób nielegalny z magazynów Służby Bezpieczeństwa. Trzeba przyznać, że Służba Bezpieczeństwa przekazała nam ostatnio z własnej inicjatywy jakiś zgrabny samochód... Przejawiamy obecnie fazę rejestracji... Właśnie minął już okres czekania na blankiety, których właśnie zabrakło. Przebyliśmy już epokę zdobywania podpisów w Warszawie... Może odbędzie niedługo pierwszą podróż służbową służbowym samochodem... Może, bo z oponami pono dość krucho... A i benzyna — pod znakiem zapytania. Kupować prywatnie nie wolno, jeździć trzeba, a magazynier przy pompie odmawia cennego płynu, choć pokazuje mu się decyzje prezydenta miasta. „My na takie kwitki nie wydajemy” — powiada i robi co chce. Spodziewa się poprawy sytuacji, dotąd jednak nie mając wehikułu do własnej dyspozycji, musiałem korzystać z publicznych środków komunikacji i oto jakie przy tej sposobności zdołałem poczynić spostrzeżenia.

Klasyczna była podróż pociągiem do Krakowa. Ciemny wieczór. Na stacji tłum. Każdy zegar pokazuje inną godzinę. Na rozkładach jazdy jakieś cyfry. Nie podano, czy według czasu miejscowego, czy według czasu moskiewskiego. Napisów brak. Ludzie zdezorientowani waleśają się po peronie, wypytując kolejarzy o informacje. „Zwracam się i ja z pytaniem do biletera przy wyjściu. „Z którego toru odchodzi pociąg do Krakowa?” Ów odpowiada wyraźnie i bez cienia wątpliwości: „Z drugiego”. Więc mimo że publiczność obległa pociąg, stojący na pierwszym torze, lokuje się w tym drugim. Tam zastanawiające pustki! Wreszcie jakiś przechodzący konduktor pyta z własnej inicjatywy: „Co pan tu robi?” — „Czekam na odjazd do Krakowa”. „Co takiego? Stąd żaden pociąg do Krakowa nie odchodzi”. „Jak to? A ten o godzinie 21-szej minut 55?” „Co pan zawraca głowę jakimiś tam 55!” „Na miłość boską, przecież tak jest w rozkładzie!”

„Co tam rozkład! Przecież się pan raz dwa do tamtego pociągu. Za dwie minuty odjazd!” Upokorzony czynię tak. Po trzech kwadransach — przesiadać się w Koluszkach. Perspektywa jazdy całonocnej w tłoku nieprawdopodobnym. Szukam więc wagonu służbowego dla pracowników państwowych. Przed drzwiczkami kolejka istot równie zdenerwowanych. Drzwiczki zamknięte, konduktora nie widać. „Gdzie poszedł”. A tu już odjazd. „Ja pana ulokuję” — woła jakiś przedsiębiorczy znawca spraw tego rodzaju, pragnąc zarobić parę złotych. I rzeczywiście lokuje co może, to znaczący walizkę. O samego pasażera mniejsza. Trzeba będzie stać w przejściu przez całą noc. I tak by było, gdyby nie liść duszy żyweliwej, spotkanego przygodnie dawnego ucznia, w mundurze z trzema gwiazdkami. Przybywamy do Krakowa w skwar, zdrożeń: ale nie tak to łatwo dostać się do miejsca odpoczynku w

mieście. Zwierzchność powszechna postanowiła bowiem badać dokumenty każdego pasażera przy przechodzeniu przez kratkę. Stoimy, czekamy, prążymy się, tracimy czas... Wreszcie — ruszam do hotelu. Legitymuję się dokumentami swego urzędu i proszę o przydział numeru... Oglądanie legitymacji, krótki szwargot i oschła decyzja... „Musi pan zameldować się w policji przy ul. Gertrudy 6, a potem wrócić do nas, ale nie wcześniej jak o trzeciej, bo dopiero wtedy hotele składają meldunki o wolnych miejscach”. „Dłaboga, panowie, czyż ta legitymacja nie wystarczy? Czyż koniecznie mam się zgłaszać osobiście w urządzie policyjnym i jeszcze tak daleko?” „Trudno, takie są przepisy...” „Ale do 3-ciej pozostają jeszcze cztery godziny... Czy mógłbym zostawić tutaj walizkę na przechowanie?” Niechętny błysk w oczach i gest wskazujący: „Proszę o tym z portierem...” „Panie portierze, czy mogę zostawić u pana walizkę na przechowanie?” „Spójrzcie społem i gest wskazujący w stronę kąt. „Jako, więc prosto zostawić walizkę w kącie?” „Tak...” warknięte przez zęby w sposób zdecydowanie arogancki. Zabieram ciężką walizkę i wlokę się wśród spiekoty na ulicę Gertrudy, by się przekonać, że pod liczbą 6 nie ma w ogóle żadnego urzędu policyjnego. Jest gdzieś w pobliżu, ale nie tam. W urzędzie pusto. Młody człowiek umundurowany czyta gazetę, nie zwracając uwagi na przychodnia. „Przyszedłem się zameldować”. Ów nie odrywa oczu od gazety, wyciąga rękę i cędzi przez zęby: „Daj pan dokument!” Wrezczam dowód i otrzymuję w zamian — za cenę nie pokwitowanych a rzekomo obowiązujących dziesięciu złotych — świstek z notatką olówkiem, głoszący, że mieszkam... w hotelu. W którym — to obojętne. Ale mimo całą swą ogólnikowość ta notatka okazała się błędna. Gdy bowiem zgłosiłem się z nią po trzeciej do hotelu, miejsca nie dostałem i zostałem potraktowany nie jako urzędnik, przychodzący po swoje prawo, lecz jako natrętny kwerylant, którego najlepiej potraktować per non est. — Wracało się via Katowice. Tam powierzono sprzedawanie biletów jakimś początkującemu niedoświadczonemu, który doprowadził publiczność do szału swoją komediową wprost ślamazarnością. Nic z planu rozmów w Katowicach... Niedolega roztrwonil cudzy czas... Do pociągu... Przed wagonem służbowym tłumaczy się znowu, pokazuje dowody jakiegoś młokosowi w uniformie i z bronią palną. Ten długo czyta, co napisane w legitymacji. Przeczytał wreszcie i rozkazuje włączyć: „Idź pan na drugi koniec wagonu...” — Dłaczegoż jednak uciekłem się do jazdy pociągiem, chociaż można było pojechać do Krakowa autobusem. Zamiast odpowiedzi zadam z kolei pytanie: „Dłaczego autobus Łódź—Warszawa ma brezent ochronny, natomiast autobus Łódź—Kraków, na trasie dwakroć dłuższej, pozbawiony jest takiego urządzenia, skutkiem czego ulewne deszcze spływają po faldach ubrań pasażerów jak po rynkach. A podróż w tych warunkach trwa osiem godzin... W pociągu ma się przynajmniej dach nad głową... Ale nie jest to przecież wygórowane żądanie, by siwy stary profesor szkoły akademickiej miał prawo do podróży przynajmniej równie wygodnej jak młody porucznik... Otóż wystarczy dowód oficerski, by mieć prawo bez żadnych sprzeciwów zająć miejsce w wagonie oficerskim... Gdy tymczasem dostęp do wagonu służbowego dla nas nałożony jest przepisowymi trudnościami. Któż go dnia wypadło mi wybrać się w podróż pociągiem z naglą. Przed wagonem służbowym młodzi w uniformie nie puszczają nikogo bez miejscówki. „A skąd wziąć miejscówkę?” „Z dyrekcji koleji...” „Panie, biura jeszcze zamknięte, pociąg odchodzi niebawem”. „To niech się pan zgłosi do dyspozytora ruchu tu na stacji”. W biurze dyspozytora poważny pan odbiera telefony z odcinka... W pauzie proszę o miejscówkę... „To tylko w dyrekcji”. „A gdzie dyrekcja?” On ze złością: „W Łodzi!” Drugi pan okazał się uprzejmiejszy. Ten z lodowatym uśmiechem oganiął, że tylko dyrekcja ma prawo wystawić miejscówkę... „Do niedawna — mówił — posiadaliśmy pod tym względem pewne uprawnienia. Teraz ich nie mamy. Teraz w ogóle czynnik wykonawczy mają bardzo-małe znaczenie”: „Ach, proszę pana — odparłem — skutek z tego jest taki, że największe znaczenie mają właśnie najniższe czynnik wykonawczy...”

Tak oto podróżuje się wśród ciągłych objawów prymitywizmu i wśród ciągłych utrudnień ze strony osób i przepisów nieznosnie sztywnych... Nie przesadzajmy — gotów ten i ów powiedzieć — bądź co bądź znośnie jest teraz. Tak, bez wątpienia jest znośnie, ale musimy się starać, aby było choć trochę znośniej niż jest.

TADEUSZ BREZA

MURY JERYCHA

(Ciąg dalszy)

Profesor ciągnął. — I teraz ja tego mam dopatrzeć, żeby jego grób przypadkiem nie zepsuł kościółka. Znow pilnuję kościółka i sztuki, jak brat mego pradziada, Jan Chryzostom, arcybiskup, który pogardził Poniatowskim głównie za szerzenie złej sztuki. Po Sasach u nas każda była dobra. To prawda. Lecz proszę spojrzeć w szerszej skali. Klasykizm to finał. To w sztuce ostatnie namaszczenie umierającej epoki. Najlepsza może rzecz w swoim czasie, ale na zakończenie. I on to sprowadził z zagranicy. Ten wykwinł, ten smak dla nas, którzyśmy się mieli dopiero zacząć. Po gnuśnej epoce oto obudzony naród. Trzeba mu było siły w sztuce. Wskazywać mistrzów odrodzenia, a nie tych malujących różem i pudrem, jak mówił mój arcybiskup — bawipędzelków.

Czerski nie miał o tym nic do powiedzenia, a konserwatorowi wydało się, że go nie przekonał.

— W sztuce rzecz się kończy na smaku. Ale to bardzo źle na początek. Zresztą wie pan, co się później stało z tym smakiem — stary pan gadał z Czerskim jak z wtajemniczonym — jedna wielka ruina. Widzi pan! — okrzyknął się, bo sam to teraz ujrzał tak jasno. Czerski się obejrzał. Nie z nieśmiałości, po prostu z lenistwa nie chciało mu się spytać co tam. — Prawie cały dzień wstał wiek w malarstwie, rzeźbie, architekturze to dno, to dno, to epoka upadku. Wszystko dziecinnie tego beztrzęsiciwego majsterstwa. U nas założył je król Staś.

— A ten pana kuzyn? — spytał Czerski. Konserwator się zadziwił:

— Kto?

— No, arcybiskup?

Stary pan zmrucił oczy. Al! — wykrzyknął tonem, w którym ubolewał niby nad swoim gapiostwem. I może nutka pewnej dolegliwości była tu szczerą. — Biedni ludzie — pomyślał smutno. — Z tą ich kurzą ślepotą na wszelką przeszłość! Muszą sobie na kuzyna przetłumaczyć przodka, żeby w wyobraźni powstał jakiś zarys. Cały świat to tylko to, co za ich życia. — Serce mu się ścisnęło. Jeszcze raz zawołał: — Al!

— Ten arcybiskup — ciągnął — właśnie o sztuce wojował ze Stanisławem Augustem. Nie jak inni, że tego wszystkiego za dużo, ale że to nie to, bo to złe. Wyszły jeszcze przed wojną jego listy. Wspaniałe! W rzeczach sztuki co za duch. Pierwszy dał w Polsce grać Beethovena. Ale nie w niepodległej!

Westchnął, jakby żałował, że się opóźniła taka muzyka i nie wlała w tamtą siłą epoki siły.

— Jako biskup i jako mecenas po pierwszym rozbiórce pisze o Stanisławie Auguste: „Dał okroić budowlę z obu oficyn, mówią, że za to podniósł ducha, ale co to od niego za ukształcenie, kiedy to dla religii ojczym, a pasierb dla sztuki”.

Czerski pokiwiał głową. Słuchał tylko słów. Uchwycił z nich tyle, że konserwator się opowiada przeciw królowi. To tak jak trzeba, pomyślał. Jeszcze jakiś okruczeństwo wysiłku wioły w to, by rozstrzygnąć, czy starszy pan taki cwany, czy naprawdę jest

przeciw. Przy czym furda sama kwestia historyczna, ciekawy tylko ten stary człowiek. Czy to jego huzia na Stanisława Augusta to osobista gietkość, czy całej jego klasy? Słowa wchodziły mu przez jedno ucho, wychodziły przez drugie. — Ale do bry ten jego ton i głos — zważył. Co niósł, nie miał ani ochoty, ani potrzeby tego osądzać. Podobnie jak starosta, który zatrzymał się koło Jelskiego. Postać chwilkę. Powiercił się zły. Nie bardzo wiedział o czym gadać. Rzucił hystere spojrzenia na gościa z prezydium. Ani chybi przywołał jakieś polityczne plotki. Czerski go zna, wszystko by przed nim wyśpiewał. Ale cóż, kiedy ten stary przeszkadza. Na śmierć zanudzi człowieka tą sztuką.

— Mecenas, który wierzy w fałszywą — prawil tymczasem stary — to jak antypapię. Coś podobnego mówił Buonarroti.

Czerski leniwie wtrącił:

— Tak, tak, a sztuka to ważna rzecz. To Marszałek powiedział, że artysta jest równy królom.

Konserwator się stropił tym odezwaniem od rzeczy. Zamilkł na chwilę. Starosta się w duchu ucieszył, bo rozumiał, że go Czerski osadził. Coż można jeszcze o temacie powiedzieć, skoro się wie, co rzekł Piłsudski? Ale stary pan, jak gdyby to było podniesienie, chwilę odczekał i mówił:

— Ale Polska nie zna innego mecenaśa! Zawsze tu był tylko antypapię. My stale czerpiemy ze sztuki w Europie, kiedy ona w upadku. Kiedy sztuka w potęgę, coś się u nas zdarza takiego, że jej nie potrzebujemy, bo albo u nas żałoba albo dzicz. Starosta zagryzał zębami.

— I będzie tak do wieczora trajlował! — wydał z siebie głuchy pomruk.

Jelski również był zły. Nie mogą się nagadać kiedy są sami. Ten konserwator musi tu często bywać! Zaszepiał do starosty:

— Ten stary, co to za przyk!

Starosta wydzielił głosem tytuł, z ironicznym pobłażaniem jak gdyby mówił „astrolog”, rzekł:

— Pan „książę” Medeksza.

Jelski jak u dentysty jęknął: Przecież cały czas był o mały włos od niegrzeczności. Może nawet już okazał chłód. Co za gaffa! W jakim że to się znalazł niebezpieczeństwie! Ze też się od razu nie spytał. Cud, że nie potraktował go z góry. Bo co mi to za figura: — prowincjonalny profesor! A tymczasem to był ojciec Krystyny. Naturalnie to ten sam. Jakoby świetny uczony dyktant. Profesor w Wilnie na Wydziale Sztuki, konserwator wojewódzki tam i widoc tu. Jelski przypomniał sobie wszystko co o nim słyszał. Ze wielki pan, że handlarz starzyzna! Nie miał nic, dobra Medekszów skonfiskowano po powstaniu. Majątki żony los rzucił na dalekie kresy. Więc z tego też nic. Książę nie mieszkał z nią od lat. W rok czy dwa po ślubie opuścił kraj, osiadł we Florencji, gdzie założył antykwariat. Zdaje się, że na stałe to nie był interes złoty. Bez kresowego zapłacza zmarniełby razem, on i jego sklep. Toteż trzeba było wracać do kraju po Wielkiej Wojnie. O dziwo! Tu się okazał jednym z najwybitniejszych ludzi swego fachu. Uciekinierzy z kresów ścigali z

sołą do kraju bezlik mebli, obrazów, dywanów, sreber, porcelany. Między tym nagłe coś olśniewało oczy księcia. Poznawał, szacował, wywoził. Wtedy to dopiero zetknął się bliżej z polską sztuką. Przed wyjazdem z kraju mało co o niej wiedział, a co wiedział, tego już nie wspominał. Sztuka dla niego to była włoska. Jeszcze się pod sztukę nadawał kawał zachodniej Europy. Ale jeśli o słowiańską chodzi, to chyba tylko pod ludową. Czy była tu jaka inna? Ach, jeszcze amatorska? Jak Orłowski, Michałowski? Sliczni. Ale! twórczość jako głos natury czy Boga, to u nas kto? Kiedy ujrzał pierwszy raz Matejko, myślał, że to projekty kostiumów. W zbiorowej scenie. W ruchu. Teraz zaczął zwolna poznawać innych malarzy, a w pierwszym rzędzie stare, polskie rękodzieło. Rozejrzał się i zmartwił swoją robotą. Handlować — uznał — owszem, ale wywozić — to nie. Zresztą krok po kroku, wszystko tutaj poczuł inaczej. Stopniowo, w miarę jak wyczerpywał włoskie, duchowe zapasy, ogarniał go głód. Rzecz prosta za sztuką, ale główne za historią. Tak nawyki, że tam się o każdym kamieniu tyle wie. Jest się tam z historią, jak ze wsi, byle miejsce, byle szczegół jej świata rozumiesz, odbierasz, znasz. Książę pojął, że się przeniósł w inną historię. Ale czemu ona nie otwiera ust. I z roku na rok coraz głębiej w to wnikał, że ludzie w kraju, dokąd przybył, z własną przeszłością nie czują się swojo. Ona niby ich, a nie ich! Właściwie nad ich stan, jak portrety po przodkach w mieszkanku małego urzędniczka z poczty, dumna ale zarzem śmieśność. Książę dla swego handlu wiele jeździł po kraju. Dziwił się pałacom, kościołom, ratuszom po miasteczkach. Zachwylił go Sandomierz, Płock, Zamość. Przenieść je do Włoch jak kobiecie do Paryża. Ależ by je tam cudownie podali! Zawsze był sceptykiem. Najpierw uważał, że w nic nie należy wierzyć, potem sądził, że wolno wierzyć we wszystko. Nawet w to, że Polska jest śliczna. Z czasem jednak to wierzenie, które uważał za prymitywne, stało się jego własne. Sliczna, myślał, tylko, że bez pojęcia co w niej piękne. Dumna z Łowicza, który jest secesyjnym brzydactwem. Zawstyżona Polessiem, które co do piękności ma silę Szwajcarii, tylko że pomysłanej z traw, krzaków i wód. Ale niebawem spostrzegł książę, że świadomości w Polsce każdej piękności szkodzi. Zaraz miejsce, jak uraczony komplementem podłotek, zaczynało się mizdrzyć. Tymczasem piękno rodzi się albo z zupełnej dzikości albo z zupełnej kultury. Środek pomiędzy tymi krańcami wypada licho. Książę więc znow odszedł od teraźniejszości, ale kiedy nawrócił ku historii, poczuł się sam. Do nikogo nie można było o niej zagać. — Akty, które są już załatwione, to historia! — powiedział mu nie całkiem tylko dla dowcipu pewien minister. Inny rzekł: — Dla człowieka teraźniejszości istnieje tylko przyszłość. —

Cóż może być wart człowiek, odpowiadał ze smutkiem książę, który zapomniał, że miał młodość. W końcu spotkał ludzi, którzy sobie przypominali coś nie coś. Na przykład młody hrabia Szpitalnik-Turzycki, ten z specjalnym stołem w domu do robotek heraldycznych. — Oto poco istnieją dzieje — westchnął książę, gdy mu siostrzeniec ukazywał swój siedemnastokrotny wywód od Piasta. I zasmucił się że dzisiaj taka jest na nią jedyna żywość na potrzeba. Młody hrabia i jemu podobni — ucierpaliby, gdyby mu z życia sprzątnąć historię, każda jego godzina by się o nią umniejszała, ale dla reszty ludzi to by nie była żadna kwestia. Czyby się poczuł kto uboższy, gdyby nam los kazał zaczynać z powrotem od Mieszka. Do tego w końcu doszło, że pośrednictwo wyraźnie użyło księcia. Był to raczej niesmak niż zmęczenie. Jemuż to właśnie przypadła rola wyplasać z dworów i kościołów meble i obrazy, zasiedziało w nich od lat. Raz ogarnął go szczególny wstyd. Wyczytał, że dwa arras, które pomógł sprzedać, zapisał katedrze w Lucku arcybiskup Jan Chryzostom Medeksza. Zawisły u dyrektora Alberta Sztamera, warszawskiego krezusa, ledwo że obeschłego po chrzcie. Wtedy książę jeszcze bardziej przykrócił swój handel. Dostawał wyłącznie do muzeów. Hart taki niebawem się wypłacił. Niewiele mu przynosił urząd konserwatora. Powołano go na niezłe płatne wykłady do Wilna. Ucieszył się. — Historia mi się od wdzęca. Bierze mnie na utrzymanie! — Ale kiedy się rozejrzał w swoich możliwościach, posmutniał. Obiekty nad którymi rozciągał ochronę nazwał „kościelne działy”, a swoje biuro — „przytułek starców”.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZMAITOŚCI

Humanizm — ale jaki?

Zaczęło się to jeszcze rok temu, kiedy się pierwsza garstka literatów zesłała w Lublinie. Po Majdanku, komórach gazowych, po sześćdziesięciu grasowaniu bestii, która sponiewierała wszystko co ludzkie, orientacja na humanizm, na sprawę człowieka stawała się czymś ważniejszym od wszelkich upodobań literackich, jakie ten czy ów zakonserwował na czas wojny. Poeci, którzy pod atmosferycznym ucieszeniem terroru nie zmienili się w przedpotopowe skamienieliny, zaczęli cenić w sobie uczucia pokrewne uczuciom powszechnym. Powieściopisarze poczuli konieczność wprowadzenia korektur w przedwojennych koncepcjach człowieka i jego losu. To polaczyło ich w jednym obozie duchowym z prawodawcą, sedzią i pedagogiem. Dla wielu było to potwierdzeniem orientacji, do której dawniej docierali z trudem, w pojedynkę, na własne ryzyko. Suma doświadczeń wojennych nadała tej orientacji nieśmiałość hasła.

Nikt się nie zważał, ani „ci z Lublina”, ani ci co przyszli z emigracji wschodniej, ani ci, co ostatni wyszli z ruin Warszawy. Jest jakiś prąd, który nurtuje świat intelektualny, o humanizmie mówi się dziś wszędzie, na Wschodzie, u nas, na Zachodzie, tylko że nie wszyscy o tym samym mówią.

Tamta, pierwsza wojna, która dla większości narodów europejskich nie miała sensu, zrodziła wolę pokoju. Ta druga miała sens i dlatego w świadomości narodów dojrzała, chęć zniszczenia rzeczywistych materialnych przyczyn agresji. Wtedy w imię tej woli pokoju, robotnicy rosyjscy zrobili rewolucję październikową, gdy tymczasem intelektualności europejscy zaczęli tłumaczyć ludziom, że wojna to zabijanie, a zabijanie to rzecz niegodna ludzi współczesnych. Pacyfizm starczył im za cały pogląd na świat, zwalniał od myślenia o prawdziwych przyczynach wojny. Aż nadszedł dzień próby ogłumowej; wojna domowa w Hiszpanii zażądała od intelektualistów opowiedzenia się i decyzji duchowej. Liczni z wyznawców pacyfizmu, jak Józef Wittlin, zrozumieli, że historia kpi z nich w żywe oczy, wyrzekli się tej uproszczonej postawy i gotowi byli wątpić w ludzką. Pacyfista, który nie dawał za wygrana, opowiadał się naturalnie za nieinterwencją. W wojnie hiszpańskiej dojrzał tylko okropność, którą trzeba zlokalizować, w Monachium dojrzał ocalenie pokoju, choćby na kilka minut. Potem francuski pacyfista nie chciał walczyć o Gdańsk, potem nie chciał umierać za Francję.

Taki był los idei pacyfistycznej, wykarmionej przez mieszczaństwo krajów europejskich między jedną wojną a drugą. Na dwie te idee leżało w najlepszym wypadku złudzenie, że wystarczy urabić duszę ludzką, aby przetrwać świat, ślepotą spirytualistyczną, naprzykrzoną wiara w magię słowa, która jest przekleństwem zapóźnionych postoi i niedojrzałych narodów.

Jesteśmy mądrzejsi o jedną wojnę i znowu grozi nam coś podobnego. Tak samo jak wtedy wola pokoju, tak dzisiaj zainteresowanie dla człowieka i jego losu, troska zrodzona czy spotęgowana przez tę drugą wojnę gotowa nam wyknieć w pobojowym apelowaniu do uczuć ludzkich. Jak wtedy pokój na ziemi, tak dzisiaj godność ludzka będzie uzależniona od łaski Bożej, albo od odwiecznej etyki, zawartej jakoby w duszach, której się ludzie wiecznie sprzeciwiają, albo wręczcie od dobrych stosunków sąsiedzkich czy parafialnych. Jak wtedy apostołowie pokoju zaczęli od rozejmu dusz i na tym kończyli, tak dziś humaniści będą nawracali szabrowników.

Trzeba wybierać między abstrakcją człowieka a człowiekiem konkretnym. Abstrakcji nie wolno zmuszać do pracy, człowieka wolno i trzeba. Takie ustawy dyktuje prawdziwy humanizm. Trzeba leczyć całe narody. To właśnie humanizm dyktuje wiadome środki: zmusić notorycznych imperialistów do hodowania buraków w ramach niewielkiej własności, do wyrabiania zegarków i puderniczek. Po likwidacji lajfundów i zbrojowni, za lat kilkanaście, mistyka rasy, krwi własnej i przelewania krwi cudzej znacznie się rozciącać w nieszkodliwych oparach mistyki boleściwość, a wtedy powiemy, że i Niemcy są ludzkie, i pogadamy o ich duszy.

Fakt, że narody i ludzkie zmieniają się w zależności od warunków, uchodzi już za truizm nawet u polawiaaczy innej, wiecznej jakoby prawdy o człowieku, tylko że zamiast gruntować ten truizm, wolą po dawnemu zarzucać sieci na martwej glebi. Humaniste obchodzi wszystko, co się w człowieku zmienia, więc musi uwzględnić wszystko, co kształtuje człowieka. Reszta sprowadza się do wiecznej głębokiej prawdy, że człowiek chodzi na dwóch nogach.

Trzeba było kilkunastu lat po tamtej wojnie, aby prąd pacyfistyczny, który tyle pięknych intencji pochłonął i zwichnął, zaczął tać wodę na młyn reakcji. Teraz, kiedy zmagaliśmy o jedną wojnę, nie trzeba nawet kilku miesięcy, aby poznać się na humanizmie, który wymachuje kropidłem wieczności.

Adam Ważyk

MARIA

D O...

Nie umiem się oprzeć tym wiosennym wiatrom na obcym bruku łódzkim i mojej młodości, splecionej innej ziemi, gdzie dziś z pierwszą trawą, kości puszczają pędy i miasto z nich rośnie.

Rzeczywistość, dom mój codzienny i Ciebie przymierzam ostrożnie jak kwiecień urodę cieniutkich listków, wyrzuconych z ciemnych i cierpkich den gałązek na srową korę.

Dzień sprzymierzony z moim trudem jest kruchszy niż motyla lot. On urodzony wczoraj o świcie jeszcze drży od chłodu mój brat, cierpliwy i bezbronny.

Wskruszeński najsmutniejszą z troską, miast odbudowy, serc odbudowy wznosimy — ja, mój ludzki los, on — trawy, domy.

P A M I E Ć

Jeżeli kto jak ja, ze śmiercią spotkał się i dalej szedł już razem, jakże mu wrócić w słodycz większą i urok zdarzeń.

W trosce o żywych — zdrowe okolice widokiem nieoczekiwanym, rozkwitną łką, ciepłym sianem podają bratnie ręce.

Lecz ja — współczesna innym krajobrazom, ognistym lawom i zapadłym miastom, uroczym twarzy tego kraju nie dojrze, patrząc.

Wydana własnym elementem, ciągną bolesność natury i rzeczy widzę i tam — gdzie strumień z miętą pokój twój, ziemio, wieńczy,

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD PRASY

Sytuacja czasopiśmiennictwa w Polsce, a zwłaszcza czasopiśmiennictwa literackiego, ustabilizowała się całkowicie, w przeciwieństwie do rynku księgarskiego. Obecnie wszystkie większe środowiska literackie mają swoje pisma. Pokrywa się to jednocześnie z podziałem dzielnicowym kraju. I tak Poznań ma swoje „Życie literackie”, bynajmniej nie ograniczające się do spraw poznańskich, Śląsk — „Odra”, Kraków — „Odrodzenie” i „Twórczość”, wreszcie w Warszawie, tym najbardziej zdewastowanym na skutek wojny kulturalnym centrum powstało, a raczej zostało wznowione pismo miesięczne „Lewy Tor”. W nr 1 we wstępnym artykule „Od Redakcji” wskazano na pobudki, które skłoniły zespół redakcyjny do kontynuowania przetrwanego przez wojnę wydawnictwa. Wznawiając „Lewy Tor” pragniemy przyczynić się do obudzenia świadomości tradycji frontu ludowego w Polsce wśród lewicowych kół inteligencji. Program jasny! Niewątpliwie zawartość numeru odpowiada zakresom przez artykuł wstępny celom. Przede wszystkim sam artykuł wstępny daje krótki i treściwy przegląd dziejów kształtowania się Frontu Ludowego w Polsce do września 39 roku. Artykuł ten jest niezmiernie pożyteczny: stwierdza bowiem, że tradycje Frontu Ludowego istnieją u nas nie od dziś. W artykule „Stara i nowa demokracja” Wacław Bielecki przenikliwie analizuje istotę demokracji, przy czym wskazuje na istotę demokracji politycznej i treść demokracji społecznej. To rozróżnienie szczególnie dziś jest cenne, stosując je bowiem, uzyskujemy nieco inny obraz rzeczywistości niżby go chcieli widzieć zesłańczeni liberalowi. Interesujący artykuł, a raczej, jak zapowiada sam autor, wstęp do serii artykułów, zamieszcza J. N. Miller na temat: „O udział sztuki w całokształcie kultury”. Dział literacki jest obfity i reprezentowany przez prozę i poezję literatów środowiska warszawskiego.

„Lewy Tor” jest niezmiernie dodatnią pozycją czasopiśmienniczą, przede wszystkim dlatego, iż w przeciwieństwie do szeregu efektywniejszych może czasopism, jest wyraźnie antykonformistyczny i realizuje konsolidację pisarzy i publicystów Frontu Ludowego, na razie w obrębie środowiska warszawskiego.

Porządku niewątpliwą, stojącą na wysokim poziomie europejskim, równą doskonałym francuskim „Cahiers du Sud” lub świetnej przedwojennej „Nouvelle Revue Française” jest „Twórczość”, której drugi numer z kolei został wydany w Krakowie. „Twórczość” ma ambicję stać się almanachem literatury pięknej i zadaniem swoim w dwu pierwszych numerach sprostała. W nr 2 notujemy kilka interesujących pozycji prozy, m. in. fragment powieści Tadeusza Hołujy „Noc listopadowa”. Niezmiernie ciekawe i świetnie napisane są wspomnienia emigracyjne Tadeusza Peiper „Z Jakucka”, zawierające poza tym sporo cennego materiału etnograficznego. W dziale poezji z satysfakcją odnotować należy „poemata naiwne” Czesława Miłozana: „Świat”, Przekłady J. Rogozińskiego z wierszy niedawno zmarłego wybitnego francuskiego poety Pawła Valéry zamykają dział poetycki. Jan Kott zamieszcza wnikliwe studium o Conradzie „O laickim stoicyzmie”, demaskując, lub jeśli kto woli, docierając do korzeni conradowskiego pojęcia heroizmu. W dziale „Sprawy i troski” zebrano trzy artykuły wspomnieniowe o trzech stolicach: Paryżu, Wiedniu i Budapeszcie czasu wojny. Wspomnienia paryskie Jędrzeja Bobkowskiego „Szkice piórkem”, poza doskonałą formą literacką, są niezmiernie wnikliwe i demaskatorskie w stosunku do francuskiego mieszczaństwa tych lat i jego spojrzenia na ocząca się wojnę. Bobkowski pisze m. in. o francuskich mieszczańcach z r. 1940: „Masła nie mają, a jednak bronią się. Narody, kłękajcie. A może to i racja? Może nie należy tak lekko myśleć umierać jak my — już nie tylko bez masła, ale bez wody i chleba. — Byliśmy zawsze tak skorzy do poświęceń (w imię obcych interesów), że np. Francuz przekonany jest, iż nam jest łatwiej umrzeć niż im. — Vous avez l'habitude —”.

W sprawie harcerstwa“ to tytuł artykułu wstępnego w nr 28 „Walki Młodych”, tygodnika ZWM. Autor stwierdza, że harcerstwo jest niewątpliwie pozycją dodatnią w życiu młodzieży polskiej. Podkreśla, że ideologia harcerstwa stawiała harcerzy w rzędzie najofiarniejszych i najszlachetniejszych żołnierzy AK. „Głębokiego heroizmu tej młodzieży nie wolno przekreślać — należy go uznać za jeden z kamieni węgielnych nowego, demokratycznego ideału wychowawczego”. Autor stwierdza, że wobec tego, iż harcerstwo jest organizacją, wychowująca młodzież od lat 8 do 18, nie obojętna jest kwestia rozszerzenia platformy ideowej ZHP. Autor słusznie domaga się, by zabral w tej sprawie głos czynnik społeczny: związki zawodowe, organizacje polityczne itd. gdyż stwierdza, że „harcerstwo jest wąskie”, wąskość ta wynika ze skupiania się w ramach ZHP młodzieży drobnomieszczańskiej i inteligentkiej. Autor zarzuca ZHP, iż pomija całkowicie w swojej ideologii wychowawczej przesłanki natury społecznej na korzyść przesłanek natury psychologicznej. Trudno nie przykładać temu artykułowi, zwłaszcza jeśli laicyzacja wychowania ma rzeczywiście być czymś realnym.

POLITYKA

Nie powtórzy się rok 1919

„Zaczyna się, jak w 1919 r...”
Tak, z zadowolonym grymasem potrójnego podbródka, powtarza jeden koltun łrugiemu w knajpie, utrzymywanej przez „rozparcelowanego” hrabiego. Tak, z niepokojem w głosie, szepczą sobie po kątach co słabsi duchem, co bardziej krótkowzroczni zwolennicy obozu demokracji.
Czy przypomnieć wam szczegóły?
W Warszawie „rząd robotniczo-chłopski” (ze jego premiera, kapitana saperów Moraczewskiego, „komendant” postawił przed nominacją na baczność i przykazał surowo — „tylko bez eksperymentów!” — o tym wielce ciekawym i nie mało ważnym fakcie świat dowiedział się dopiero o wiele, wiele później).

W proklamacjach rządowych — aż czerwono od socjalizmu, od demokracji, od wymyślenia reakcji. Mieszczuch — zastrachany falą demonstracji, przewrotem, jakiego, zdawało by się, już wali się na jego głowę.

I ob — zjawia się zbawca.
Jedzie z Zachodu Paderewski, znakomity pianista i kiepski polityk, pasowany na męża stanu przez sojusz dworu, gładki i zakryty.

Witają zbawcę uroczyste demonstracje: wychodzą mu na przeciw burzowskie korporacje w bratnim szeregu, niemal pod rękę z bojowniczkami wiary spod znaku św. Zyty. Trzęsą się szyby od hucznych okłasków i burzliwych okrzyków.

Koltun mobilizuje się — do walki o władzę. O władzę, o pełnię władzy — nie dla siebie zresztą. Dla obszarnika i wielkiego kapitalisty.

I oto — w niemalym stopniu pod naciskiem obcych ambasad, wskazujących na niestosowność zbyt czerwonej dekoracji dla państwa, położonego w bezpośredniej bliskości Sowiektów — „komendant” odwołuje swego wiernego kapitana saperów. Miejsce Jędrzeja Moraczewskiego zajmuje Ignacy Paderewski.

Dalej — znamy historię. Od nitki do kłębka, od szczeniaka do dorosłego, drańczego wilka zmieniają się klikki, treść pozostaje ta sama. Chienopiast, Grabski, sanacja, BBWR, Ozon. I na końcu września 1939.

Czy historia nie zaczyna się na nowo? Czy nowy Paderewski nie toruje drogi do władzy trójprzymierzu dworu, karcelu i zakrytych?

Studentki, zdzierające sobie niedawno struny głosowe w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, uważają, że tak właśnie jest. Wraz z nimi jest tego zdania niemała część kandydatów do zwrotu folwarków i fabryk.

„Wunschträume” (Sny rodzące się z zyczenia) — takim pogardliwym wzruszeniem ramion mogliśmy zbyt te nadzieje, gdyby nie to, że sporo ludzi, nie marzących wcale o powrocie Brzeźcia i Berezy, również ulega tego rodzaju sugestiom.

KRONIKA FRANCUSKA

Sprawa papieru, jego brak i rozdział jest w dalszym ciągu jedną z najważniejszych kwestii we Francji. W związku z przydziałem papieru działalności firm wydawniczych zmniejszyła się o 90% w stosunku do ilości książek, wypuszczanych na rynek przed wojną. Według zdania wydawców francuskich, kryzys ten spowodowany jest nie tyle brakiem papieru, ile przede wszystkim jego niewłaściwym rozdziałem. Paryż zarzuca jest ogromną ilością afiszów, manifestów i ulotek, natomiast student ogłaszający pracę dokłorską musi zadowolić się powielaczem. Zniszczenie księgarni francuskich jest groźniejsze niż inne spustoszenia wojenne, ponieważ jest ono mniej widoczne. Książka francuska potrzeba jest nie tylko w kraju, ale i za granicą, dla Afryki Północnej, dla Indochin i t. d. Francuzi podkreślają konieczność rzucenia swoich książek na rynek światowy i nawiązania tą drogą zerwanego od pięciu lat kontaktu intelektualnego ze światem. Nie należy także, — piszą — zapominać, że książka jest ważną pozycją w eksporcie francuskim.

Osobnym zagadnieniem jest wydawanie książek i podręczników dla młodzieży szkolnej. Jest to sprawa szczególnie pilna wobec zupełnego braku tego rodzaju wydawnictw. W związku z przygotowaną obecnie reformą szkolnictwa i oczekiwanymi zmianami programów należy zająć się na razie przede wszystkim wydaniem książek pomocniczych w rodzaju słowników, atlasów, tekstów klasycznych własnych i obcych. Kwestia wydawnicza może zostać rozwiązana jedynie przy pomocy rządu, ponieważ w jego rękach znajduje się cały zapas papieru. Rząd francuski musi więc uczynić wybór — pisać w „Nouvelles Litteraires” — między polityką confetti a polityką powszechnego nauczania.

W „Les Lettres Françaises” ukazała się notatka pod tytułem „Straty wojenne”, poruszająca aktualną ciągle sprawę braku papieru nie tylko we Francji, lecz i w Anglii. W Anglii

Wyjaśnijmy więc różnicę sytuacji — sytuacji 1919 r. i sytuacji obecnej.

Wtedy mówiono o socjalizmie. Ale na folwarkach siedzieli obszarnicy. Ale fabryki należały do kapitalistów. Ale bankami rządili kapitaliści. Ale policja była w rękach „pewnych” obszarniczo-kapitalistycznych dzierżymców.

Ale armię trzymał w garści Rydz-Śmigły i jego „komendant”.

Dziś jesteśmy skromni. Nie krzyczymy o socjalizmie. Wierzymy, że realna, obiektywna rzeczywistość zakreśla nam granice, których dziś przekroczyć nie możemy. Budujemy ludową demokrację. Nie więcej. Ale — i nie mniej.

Nie mniej — bo znaczy: to co mówimy, robimy naprawdę. We mean business — jak mówią Anglicy (polskie „Myślimy to na serio” słabo tylko oddaje sens tego zwrotu). Business — realne, konkretne dzieła.

Nie ma więcej w Polsce obszarniczych folwarków. Na ich ziemi siedzi dwieście tysięcy chłopskich rodzin.

Nie ma więcej w Polsce wielkich fabryk czy wielkich banków, które by należały do kapitalistów. Przejęło je ludowe, demokratyczne państwo.

Nie ma w Polsce starej policji. A — choć wielu z nas ma wiele do zarzucenia naszej milicji, jednej rzeczy nikt jej zarzucić nie może: że chce ona pomagać kapitalistom w odbieraniu fabryk i obszarnikom w odbieraniu folwarków.

Nie ma w Polsce Rydza-Śmigłego na czele armii. Jest człowiek, który związał się z obozem ludowym w najcięższym czasie walki z niemieckim i rodzimym faszyzmem. W 1918 — 1919 r. ułani Śmigłego na Lubelszczyźnie batożyli fernali, „buntujących się” przeciw panom. W 1944 r. żołnierze i oficerowie naszego Wojska Polskiego pomagali, na tejże Lubelszczyźnie, chłopom przy podziale obszarniczej ziemi.

Taka jest różnica między 1919 a 1945. Wtedy pozostała niezmienną strukturą gospodarczo-społeczna kraju. Wtedy państwo — przynajmniej jego jądro: „oddziały uzbrojonych ludzi” pozostało w rękach dawnych klas panujących.

Dziś ta struktura społeczno-gospodarcza uległa zasadniczej przemianie. A państwo — przynajmniej jego jądro: „oddziały uzbrojonych ludzi” znalazły się w rękach przedstawicieli nowych, postępowych klas społecznych.

Dlatego nie powtórzy się rok 1919. Nie pomoże żaden nowy Paderewski. Nie pomoże żadna nowa koalicja burżów i zyttek, choćby nawet wzmocniona przez NSZ-owskich skrytobójców.

Naród polski przełamie tę koalicję i pójdzie swoją drogą.

Laszcie ogni speranza! Porzućcie wszelkie nadzieje.

erkawu

ruch wydawniczy zmniejszył się o 50% w porównaniu z rokiem 1939. Brakuje przede wszystkim wznowień utworów klasycznych. O ile książki autorów współczesnych można dostać na ogół łatwo, o tyle autorów klasycznych i tych ze współczesnych, którzy byli bardzo poszukiwani w ciągu 5 lat wojennych, jest znaleźć niezwykle trudno. Zniszczenie książek w Anglii jest znacznie większe niż we Francji. Prawie wszystkie domy wydawnicze w Londynie znajdowały się przy ul. Paternoster Row, która uległa zupełnemu zburzeniu w okresie działań wojennych, a z nią razem spłonęły miliony książek i to ważniejsze matryce, służące do powtórnego wydania. Aby zdać sobie sprawę z rozmiarów tej katastrofy należy przytoczyć jedynie w swoim rodzaju i trudno do pojęcia fakt, że bardzo rzadko i tylko okazynie można znaleźć w księgarniach angielskich Szekspira.

Francja ma prawo do niemieckich dzieł sztuki. Na tym stanowisku stoją „Les Nouvelles Litteraires” i na lamach swego pisma otwierają ankietę, gdzie w kwestii, tej będą się mogli wypowiedzieć artyści i pisarze. Na terenie Francji zabytki i dzieła sztuki uległy ogromnemu zniszczeniu. Zburzone kościoły, wysadzone w powietrze zamki, zapadłe katedry, spalone biblioteki, archiwa i muzea należą do tego rodzaju strat, które nie mogą być zrównoważone węglem, drzewem i t. d. należnym Francji od Niemiec tytułem odszkodowania. Niemcy posiadają jedno z najbogatszych muzeów na świecie, gdzie reprezentowana była nie tylko sztuka niemiecka, lecz także francuska, holenderska, flamandzka i t. d. Dlatego też jest rzeczą słuszną, aby jedna dziesiąta lub jedna dwudziesta zbiorów niemieckich została przekazana Francji. Wybór ich powinien zostać dokonany bardzo starannie. Niewielka liczba płócien — Velasquez, Breughel, Duerer i t. p. powinna znaleźć się w Luwrze. Rzeźby, przedmioty sztuki porcelana, obrazy powinny zostać przekazane muzeum prowincjonalnym, aby wzbogacić i uzupełnić ich stan posiadania.

OBIEKTYWIZM

Publicyści z „Tygodnika Powszechnego” pouczają nas niejednokrotnie, strufląc za brak „obiektywizmu”, „rzecowego” podejścia do zjawisk życia i literatury; usiłują stworzyć pozory, jakoby to wszystko, co pisano u nas do tychczas o literaturze, opierało się na jakiejś obiektywnej wiedzy. Krytycy-idealisci różnych odcieni odżegnują się uroczyście od wszelkiej polityki, oświadczając, że są apolityczni, jak gdyby taki apolityczny błogosław był kiedykolwiek i w jakichkolwiek warunkach możliwy.

Cofnijmy się nieco w przeszłość — dla nauki i dla przestrogi. Leży przede mną kilkanaście numerów „Przeglądu Współczesnego”, miesięcznika, który słusznie cieszył się opinią pisma doskonale i na wysokim poziomie redagowanego. Nie będziemy tu mówili o znakomitych założeniach „Przeglądu Współczesnego”, które uzasadniają zaufanie naszej inteligencji przedwojennej do tego pisma. Interesuje nas jedna tylko sprawa, sprawa obiektywizmu naukowego. Dla przykładu weźmy pierwszy z brzegu artykuł — studium informacyjne o literaturze rosyjskiej (Zeszyt — styczeń-marzec 1933). Wśród wielu zdumiewających ocen w tym artykule, mającym informować czytelnika polskiego o dokonaniach literatury rosyjskiej — czytamy tam następującą charakterystykę Majakowskiego: „W osobie Majakowskiego znalazła herolda „ulica” intelektualna... Majakowski z całą stanowczością przekroczył granice, poza którą język przestaje się różnić od języka targowiska... Gdy wybuchła wojna, przed Majakowskim stanęła otworem ulica prawdziwa. Bez czapki, wymachując płaszczem chadzał po Moskiewie na czele urządzanych przez policję „patriotycznych” manifestacji, od których stronili prawdziwi patrioci. Na rogach ulic deklamował krwiożercze i zniechęcające wieksze antyniemieckie. Gdy w lecie 1945 r. mołach moskiewski grabił niemieckie sklepy, nie zabrakło i tu Majakowskiego” itd. itd. Oto przykład jak wygląda w praktyce „niezależność” i „obiektywizm” krytyki mieszczańskiej.

W tym samym piśmie, w innym naczelnym artykule pt. „Rzym Mussoliniego” (1936) znajdujemy taką ocenę działalności Mussoliniego i partii faszystowskiej, która stanowczo wykracza poza sprawy urbanistyczne: „Duma, płynąca z przeświadczenia o dziedziczeniu doniosłej światowej misji, znalazła swój wyraz w podkreśnianiu i udoimianiu w obrazie miasta jego najodleglejszych tradycji. Wyniosłe ambicje dzisiejszych Włoch wyszły na dobre rozbudowie miasta i jego wyglądowni... „Chwila obecna postawiła przed nami cel trudny i doniosły — bredzi dalej autor rzeczownego artykułu — oto jak Włosi po zjednoczeniu, mamy wyrazić monumentem wielkość przelomowego faktu w naszych dziejach i uczcić pamięć Wskrzesiciela i Wodza Narodu... „Leż trzeba nam owej wiary w konieczność i słusność sprawy stolicy, jaką okazali Włosi, i woli równie niezłomnej, pokonywującej wszelkie trudności przez entuzjastyczne zapalenie się w wizję wielkiej przyszłości narodu”.

Jeśli tak przestrzegano się zasad „obiektywizmu” i „apolityczności” w miesięcznikach pretendujących do wysokiego poziomu naukowego, to cóż dopiero mówić o pismach, które nie miały ambicji rzeczowości i powagi uniwersyteckiej!

Leży przede mną pismo emigracyjne, wychodzące w Londynie „Wiadomości polskie” (1943 r.). W obszernym artykule Kazimierza Wierzyńskiego „Poezja polska na emigracji”, obok wywodów na temat „metafizyczności” Tuwima, czytamy: „...pamfletowy ustęp z „Kwiatów polskich” o ostatnich przedwojennych latach polskich, do zdumienia mało dostrzeżony w dzisiejszych czasach, w okropnym dla nas wszystkich nieszczęściu, umieszczony przez poetę w komunistycznym piśmie w kwietniu 1943 r.” itd. Jeśli dodamy, że w tym samym numerze o stronę dalej autor artykułu politycznego „Tajemnica Zachodu” pisze otwarcie i bezwstydnie: „Od odpowiedzi na pytanie: jaki jest sens polityczny odrotu niemieckiego, zależy wiele — trwanie wojny, jej oblicze moralne, losy pokoju”... to rzucimy lepiej i głębiej sens właściwy pozornie czysto-literackiego, napisanego przez poetę artykułu.

A może to mnie się tylko tak wydaje, może to moja „ciężkość”, niesłychana podobno w dziejach naszej publicystyki, jak twierdzi Kisiel, sprawozdawca „Tygodnika Powszechnego”, moje „doktrynerstwo” itd. nie pozwala mi ujrzeć głębin metafizycznych, zawartych w cytowanych przeze mnie artykułach?

Mieczysław Jastrun.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

G. E., L. Osiat, M. Jarsz, Stanisława Milk-Iw. — Nie skorzystamy.

G. N. — Odpowiedź na artykuł Przygórskiego była drukowana w tygodniku „Odrodzenie”. W „Kuznica” nie będziemy na ten artykuł odpowiadać. Z artykułu „O nawróci do humanitaryzmu” nie skorzystamy. Prosimy o współpracę.

Sz. Skar. — Warszawa — Interesująca sylwetka Corota dla nas nie nadaje się, raczej do pisma plastyków.

Włodzimierz Dław — Nowela „W las” nie dla nas.

Tadeusz F. — Poznań. — Z przekładu nie skorzystamy.

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie książek recenzyjnych możliwie w dwóch egzemplarzach.

NOTY

REFORMA SZKOLNA ZOSTAŁA POGRZEBANA

Wobec żadnej bodaj sprawy naszej niesławnej przeszłości nie zajęło społeczeństwo tak zdecydowanie jednolitego i krytycznego stanowiska jak wobec sanacyjnego ustroju szkolnego, będącego cynicznym narzędziem selekcji klasowej społeczeństwa. Prace Falskiego zestawiające statystyczne cyfry szkolnictwa — nazywane najbardziej wstrząsającymi książkami międzywojennego dwudziestolecia. Stan szkoły był katastrofalny, społeczna jej struktura haniebna, krzywdząca. Wydawało by się, że praca nad reformą ustroju szkolnego podjęta będzie przez wszystkich demokratów z całym zapałem. Istotnie. Ustalono plan reformy. Na zjeździe łódzkim poddano go swobodnej krytyce fachowej, poddano surowej kontroli społecznej. Wynikiem narad był ramowy projekt wyrażający uzgodnioną opinię rządu, sfer i organizacji nauczycielskich, czynników fachowych i politycznych, zorganizowanej młodzieży. A więc chyba wszystkich? Tymczasem dalsze prace szczegółowe ufknięły. Na rok 1945—46 wydano jakież tymczasowe zarządzenie mające niewiele wspólnego z reformą szkolną. A inne prace? Dyskutowanie szczegółów programów? A prace legislacyjne? Dyskusja nad projektem już samej ustawy szkolnej? Nic! — „A w sadzie cicho... cicho... — jak mówi poeta.

Chcielibyśmy wiedzieć o się dzieje? Czyżby stosunek do reformy szkolnej miał być wyciechem reakcji w oświacie? Czyżby obecnym kierownikom ministerstwa tak się podobał sanacyjny ustrój szkolny, że nie widzą co by można w nim zmienić?

Wierzmy jednak, że to tylko nieporozumienie. Stąd nasz ton żartobliwy. W przeciwnym razie pomówimy serio.

SPÓŁCZENSTWO JAKO PIERWOTNIK

W nauce anatomii praktykuje się sekcje na trupach, pomimo to przecież anatomia służy do poznania żywego organizmu. Badacz, który nie chce nic słyszeć o sekrecji gruczołów i obiegu krwi, tyle będzie wiedział o żywym organizmie, co Artur Seelieb, który na pierwszej stronie „Tygodnika Powszechnego“ (Nr 22) dokonał przekroju „wewnętrznej struktury organizmu społecznego“ i dojrzał tylko „komórki“, nie ponadto: komórki rodzinne, zawodowe, towarzyskie i wreszcie wielką komórkę: naród. Oklepana spencerowska analogia między społeczeństwem a organizmem zaciera tę oczywistą prawdę, że organizm rozwija się, starzeje się i umiera, a społeczeństwa ciągle się przekształcają, przeżywając nie zawsze łagodne wstrząsy. Badacz „anatomii społecznej“, który sprowadza całe życie społeczne do jakiegoś automatycznego funkcjonowania „komórek“, przypomina nam o tym mimo woli, wzmiankując kilkakrotnie o rewolucji francuskiej. Kto tej rewolucji dokonał? Komórki rodzinne, zawodowe, towarzyskie? Bliższe nam czasy znają inną jeszcze rewolucję, która przekształciła całe społeczeństwo rosyjskie. Skąd się wzięły te siły w organizmie społecznym? Zorganizowanie politycznie w nowoczesnym społeczeństwie robotnicy i chłopcy uszli uwagi badacza, podobnie jak nie dostrzegł w społeczeństwie feudalnym mieszczaństwa i mas plebejskich. Ale dla Artura Seelieba nie jest chyba obojętny przebieg religijny, dokonany niegdyś w imperium rzymskim, ruch chrześcijański, podjęty przez niewolników. Czy to także „komórka“, czy nie przypadkiem jakaś klasa społeczna?

Badacz społeczeństwa z „Tygodnika Powszechnego“ dokonał sekcji na jakimś dziwnym tworze pozbawionym zdolności do życia historycznego. Ten model organizmu złożony wyłącznie z komórek, komórek i komórek, daje świadectwo zaszczytnemu wyobrażeniu o społeczeństwie, bo ładząco przypomina amebę.

PAPIEROWA GOSPODARKA

Nietylko u nas tak jest. I we Francji przyczynę kryzysu w życiu umysłowym kraju, przyczynę niemości, bezruchu myśli dostrzeżono w braku papieru. Ale u nas jest gorzej. Dzisiaj jesteśmy krajem analfabetów. Sytuacja jest groźna. Otrzymałbyśmy straszliwy spadek po sanacji i po 6 latach okupacji prawie bez obowiązku szkolnego.

Tymczasem elementarz dla dorosłych (przygotowany!) nie może się ukazać! Nie ma papieru!

Elementarza dla dzieci mamy kilkadziesiąt tysięcy, gdy rok szkolny już się zaczął — a owinno go być około $\frac{1}{4}$ miliona egzemplarzy! Nie ma papieru!

Tymczasem wstępne wyniki badań podkomisji do spraw gospodarki papierem przy Komisji Oświatowej KRN — wykazały, że w tym dziale produkcji faktyczna kontrola jeszcze nie istnieje.

Toteż dzieją się cuda. Bo proszę: dlaczego wielka firma papiernicza „Aleksandrowicz“ — znajdująca się w prywatnym reku przejęła zapasy papieru pominięciem z prawa należące do państwa? Dlaczego Ministerstwo Informatyki zleciło rozdział przydzielonych przez siebie kontyngentów papieru firmie „Papyrus“ co powoduje, że ten sam kilogram papieru kosztuje w fabryce 8 zł — w firmie rozdzielczej już 20 zł? Dlaczego niejaka firma „Pionier“ może w śląskich gazetach ogłaszać, że sprzedaje papier

poniżej ceny reglamentowanej? Co to wszystko znaczy?

Lieczyśmy na obywatelskie wścibstwo Komisji Oświatowej i fachowość Biura Kontroli przy KRN.

O INKWIZYJCJI

W „Tygodniku Powszechnym“ Nr. 26, Jerzy Zagórski w artykule „Żydzi, Polacy i zamknięte dusze“ zwraca się do czytelników z następującą prośbą: „Inkwizycji nie porównujcie z tym, co czynili hitlerowcy. Inkwizycja była w naszym pojęciu złą formą obrony świata naszej cywilizacji przed bijącymi w jej fałszywą materializm, herezji i zabobonu“.

Inkwizycja trwała na terenie zachodniej Europy od 1183 roku aż do 1808 roku. Czyli siedem wieków. Hitlerizm przetrwał zaledwie 12 lat. Spodziewam się, że za lat osiemset, w jakimś przyszłym „Tygodniku Powszechnym“ piarsz również dobrej woli, jak Zagórski, patrząc sine ira et studio na dzieje owego dwunastolecia, napisze: „Hitlerizm“ nie porównujcie z tym co czyniła inkwizycja. Hitlerizm w naszym pojęciu był złą formą obrony świata naszej cywilizacji przed bijącymi w jej fałszywą materializm, rewolucji społecznej, racjonalizmu“. Pisze dalej Zagórski, że „choćby (inkwizycja) przybywała niekiedy rozmiary masowe, ale polegała na śledztwie, na wyłowieniu przestępcy indywidualnego... pozostawiała mu drogi wyjścia. Oczywiście XIX wiek wysoce liberalny musiał ze wstrętem się otrząsać na jej wspomnienie. Ale my, synowie XX stulecia stulecia spojrzmy na swe ręce i zapytajmy, czy nie są podobnie zbrukane. Jak ręce inkwizytorów?“

Zagórski popełnia błąd rozmysłny i świadomy, gdy mówi, że inkwizycja była skierowana przeciwko, herezji i zabobonom. Pamiętajmy, że prócz ustanowienia instytucji „mal leus maleficiorum“ tzn. „młot na czarownice“, ta sama inkwizycja spaliła Giordana Bruno i układała stopy z książek niewygodnych dla Kościoła. Gdyby Zagórski spojrzal na dzieje ruchów religijnych nie z kopuły św. Piotra,

lecz przez stronicę zwyczajnego podręcznika historii, to dojrzałby, że inkwizycja zdusiła swobodę renesansowej myśli poznawczej. Sprawa jest prosta: inkwizycja jak i faszyzm, to ciemne karty dziejów ludzkich.

„Po owocach ich, poznacie je“ — mówi Pismo Święte. I dlatego prośba o pobliżliwość dla Wielkiej Inkwizycji, zanoszona z łamów „Tygodnika Powszechnego“ nie będzie wysłuchana.

JERZEMU ZAGÓRSKIEMU DO SZTAMBUCHA

„Kto chce nabrać szacunku względem inkwizycji, a zwłaszcza jej odrębnej, prawom świeckim nie znanej procedury, niech sięgnie do podręcznego słownika inkwizytorów, którego autorem jest Mikołaj Eymerye — Wielki Inkwizytor Królestwa Aragonii (połowa XIV wieku):

§ 58. Wykluczona niech będzie litość dla dzieci, obecnego przy torturach ojca. Albowiem dziećmi prawem boskim i ludzkim odpowiada się za grzechy rodziców.

§ 123. Żadnych doniesień, choćby i bezpodstawnych nie wolno inkwizytorowi wykreślać z księgi... Prawda może wyjść na jaw znacznie później...

§ 313. Dla stosowania tortur wystarczy zwykła chwiejność w żeznaniach oskarżonego.

§ 332. Winny, nad którym już zapadł wyrok, przeprowadzonym będzie na miejsce meki. Towarzyszy mu tłum pobożnych, którzy się za niego modlą i nie opuszczają go, dopóki nie odda duszy Panu Bogu“.

Przypisek redakcji: Powyższą notę nadesłał nam Franciszek Maria Arouet, piszący we Francji w XVII w. pod pseudonimem Voltaire.

KROPKA NAD I

Dzień pierwszy września, rocznicę niemieckiej napaści na Polskę „Tygodnik Powszechny“ upamiętnił dyskretnym felietonikiem obny“ upamiętnił dyskretnym felietonikiem ob. Kisiela (Nr. 25) maleńkim — trzeba to przy-

znać — arcydziełkiem perfidii: Ob. Kisiel wi- dział ponoć na moście w Krakowie, jak podnieceni ludzie chwytali ulotki zrzucające z samolotu, a potem odrzucali je z wyrzeczaniem: „Czego się właściwie spodziewali? Obywateli, czego chcecie? Wytłumaczcie mi, bo ja donna- dy — nie rozumiem!“ pyta się z głupia frant ob. Kisiel.

Wytłumaczmy: rozczarowały ich zwłkle, legalne ulotki, bo spodziewali się, że na 1-go września spadnie im z nieba przedwrześniowa Polska, Ponadto ludzili się, że niebo im ześle bezpośrednią przestrożę przed zawieraniem ślubów cywilnych. Myśleli sobie, że złapią kontakt z niebem bez pośredników z „Tygodnika Powszechnego“, ale się i tym razem, bo- dni, rozczarowali. Nareszcie ob. Kisiel rozu- mie?

U MŁODZIEŻY LITERACKIEJ

Słusznym prawem młodości jest odczuwać, myśleć i pisać inaczej niż starsza generacja; prawem i może nawet obowiązkiem. Debiutant, który nie wywołuje zgorznięcia, budzi wafliwie zaufanie. Korzystając z tego prawa, krakowska młodzież literacka która przez kilka mie- sięcy defilowała w dodatku do „Dziennika Pol- skiego“ zatytułowanym „Walka“, obecnie wy- dała na własną rękę jedynodniówkę „Inaczej“. Kto pamięta ferwor jedynodniówek literackich po tamtej wojnie, tego spotka niemiły zawód. Historia nie lubi się powtarzać i nie zawsze młodzi gwizdzą na starszych. Dzisiejsza młó- dzież w ogóle nie gwizdza, natomiast skarży się na to, że z braku papieru ogranicza się jej możliwość druku, że „Odrodzenie“ za małe miej- sca daje 32 młodym autorom krakowskim.

To prawda, że „Odrodzenie“ musi ponieść i starszych, to prawda, że brak papieru krep- je rynek wydawniczy, ale gdyby ta rozgory- czona młodzież wiedziała, jak łatwo było młó- dym przed 20 laty przynajmniej do czaso- pisem Zreszta najczęściej nawet nie próbowali! Jak łatwo było wydawać własne czasopismo, nie mając na to pieniędzy, Jak zjawiał się i zniknął mityczny finansista, jak dobrze ułożeni, konkurenci literatów nokautowali wszelkie pró- by założenia w Warszawie pisma „nowa- torów“, Peiper im opowie, jak łatwo było wyda- wać „Zwrotnice“, Przybysz wyliczy im na pal- czech jednej ręki, ile razy w ciągu 20 lat wspomniano o nim w „Wiadomościach Lite- rackich“. Reszta odpowiedzą im ci, co złamali pióro, bo nikt ich do pisania nie zachęcał.

Dzisiejsza młodzież krakowska, która nie zna rozkoszy wolnej konkurencji, skarży się wspo- minając bankiet urządzony na jej cześć w re- dakcji „Dziennika Polskiego“. Rzeczywiście, jest gruba inaczaj niż 25 lat temu. Wtedy to popisywały się dzikusy, niezrozumiały, kan- cjarze. Dziś już Wojciech Natanson, pamiętając owe czasy, nawołuje młodzież: „Przewracajcie hierarchie, rozbijajcie szablony“. Starsi żądają tego od młodych, a młodzi, jak to zwykle, nie słuchają starszych i tym razem nie chcą prze- wracać ani rozbijać. Co było do przewidzenia.

Całe to wystąpienie młodych, można by lekce- ważyć tak samo, jak ich pretensje do starszych, można zakwestionować, czy zawartość „Jedno- dniówki“ spełnia obłietnicę tytułu. Byłoby to lekkomyślne, bo z tej młodzieży wydłże kilku lub kilkunastu poetów czy prozaików i na pewno będą niepodobni do starszych. W pro- gramowym jakoby artykule Adam Włodek mówi o poetach starszej generacji, których twórczość młodzież ta chciaaby uznać za punkty wyjściowe dla siebie. Artykuł świadczy o kompletnej obojętności młodzieży do poezji „Skamandra“ i z równym przyświadczeniem tej obojętności mógłby się ukazać na kilka lat przed wojną. Zdaje się, że ten artykuł ra- czegoś nie nadaje za dzisiejszymi zainteresowa- niami młodych, bo i w negacjach, i w afirma- cjach Włodek dostrzegają jeśz ze echa spo- ra z estetyką symbolizmu, walki o wyraz pa- etycki właściwy ubiegłemu okresowi, gdy tym- czasem młodzież, jeśli można się zorientować z utworów jedynodniówki, bez względu na ich wartość, oddała się od tych punktów wyjścio- wych, żyje już w innym klimacie, dyrektywą staje się już nie styl poetycki, ale doświadcze- nie ludzkie. To właśnie jest to „Inaczej“, które się dopiero klaruje. Jak mało ich obchodzi styl poetycki, chociaż jeszcze tyle mówią o „for- mie“, świadczy ten fakt zdumiewający, że 32 młodych, przypadkowo skupionych w Krako- wie, uważa się za jeden zespół, za grupę literac- ką, że legitymuje swoją wspólnotę wyłącznie wiekiem i stażem. Jeżeli się nie pokłóca, bę- dzie to fatalna zgoda, bo zgoda na zanik kie- runków literackich.

SATYRA

Na zerwanie z Rzymem

Ażeby zwyciężyć piekielne złe moce:

„Ty jesteś opoka, a na tej opoce

Zbuduje Kościół mój...“

Niestety opoka nie poszła z opoką,

Opoka nieczuła na krepnęde głęboką,

Na wojnę, niewolę i ból.

Specjalnym nas aktem uznano na Krymie,

Lecz fakt ten uznania nie znalazł dziś w Rzymie,

Gdzie Krym jest — a gdzie Rzym?

Rzym za to niemieckich biskupów nam dawał,

Choć Rzym nam się właśnie opoką wydawał!

Już pora uporządkować się z tym.

Już płacz papieża rodzinie dewotki,

Już kachły do kucykty przychodzą na płotki:

„Kto będzie nas wzmacniał i strzeż!“

Już walczy kultuństwo, już czerń się rozjusza:

„Jak zbawi się dusza, gdy nie ma monejusza?“

Świeć Paniel Skaranie i grzech!“

„Matczństwa w urzędzie zawierać się będzie,

Skajarzy skłonności młodzieńca z dziewczęciem

Za biurkiem siedzący tam czart!

To żyda robotka! Ohyda, zgorzienie!

To w świętek czy piątek dziewięćtek kuszenie,

To ruja, porubstwo i gwałt!“

Nie można już więcej! Już weźmy to w ręce!

Do meny b'slupiej od chłopskiej już nędzy

Nie będzie szła ziemia, jak w pachł!

Za wzniosłość wyrosła, za wzniosła też cenal

A kta jest wierzący — to nie ma znaczenia

Dla niego umowa i pakł!

Więc jeśli cie gorzysy, więc jeśli cie boli

To z Rzymem zerwanie, gdyż dobry katolik

Weź Pismo Święte do rąk:

„Jesteś zgorzieniem, bo nie pojmujesz tego

Co jest bożego — ale co ludzkiego“.

Tak mówi najmędrsza z ksiąg.

Andrzej Nowicki

Ze wymogi nie dość ostrej
Czas jej sprawić „pater noster“,
Czas już sprawić „noster pater“,
Naszej Abnie (naser) Mater.

Janusz Minkiewicz

ZAPRENUMEROWAĆ „KUŹNICĘ“
MOŻNA W KAŻDYM URZĘDZIE
POCZTOWYM ZA POMOCĄ PRZE-
KAZU POCZTOWEGO.

PRENUMERATA MIESIĘCZNA WY-
NOSI 21 ZŁ, KWARTALNA 63 ZŁ.
ADRES REDAKCJI: ŁÓDŹ, PIOTR-
KOWSKA 96.